

**Papi Teresa Jadwiga**

**AKTEA**

*Powieść na tle dziejów rzymskich*

I.

Któż nie znał w Rzymie Marcelusa Petroniusa, jednego z najzamożniejszych obywateli państwa, niegdyś trybuna, potem senatora, na koniec przyjaciela cezara Trajana; któż nie wiedział, gdzie wznosi się kamienny jego dom z pysznym ogrodem... Do domu wchodziło się od ulicy, przez tak zwane vestibulum, czyli przedsionek, a dalej znajdowało się atrium, rodzaj wewnętrznego dziedzińca, otoczonego kolumnadą. Na środku szemrała fontanna, a na wielkim jej basenie pływały łabędzie, wkoło zaś rosły kwiaty i krzewy. Atrium stanowiło w domach rzymskich główną część domu, tutaj zwykle zbierała się rodzina na wspólną rozmowę, tutaj siadywały panie domu z robotą, otoczone córkami i służbą, tutaj pan domu klientów przyjmował. Około atrium mieściły się

sypialnie, salony, kuchnie, mieszkania niewolnic i niewolników, łaźnie i t. p.

Fortuna sprzyjała Marcellusowi, wzrastał on z każdym rokiem w zamożność i znaczenie, lecz inne bogi tak łaskawe dlań nie były: oto złośliwe Parki przecięły zbyt wcześnie nić życia ubóstwianej przez Marcellusa żony, odebrały mu ją w chwili, kiedy była najbardziej potrzebną maleńkiej dziecinie, którą ich niebo obdarzyło. Marcellus długo nie mógł pocieszyć się po stracie ukochanej Łucyi. Nie wprowadził do swego domu nowej pani, lecz uprosił swą siostrę Waleryę, zacną niewiastę, aby przeniosła się do jego domu. Walerya uczyniła zadość prośbie brata, gdyż po śmierci męża swego, który zginął w jednej z wojen, znalazła się w trudnym położeniu, wraz z dwojgiem dzieci. Chcąc, aby siostrze u niego było jak najlepiej, Marcellus Petronius odstąpił jej na własność część swojego domu; żyli więc razem, lecz każde z nich miało swoje ognisko osobne. Walerya troskliwie czuwała nad całym domem brata i nad jego dzieckiem, gdy zaś zapragnęła przebywać tylko ze swemi dziećmi, wówczas usuwała się, a nad małą Łucyą czuwały niewolnice; czasami prowadziła swą córkę Akteę i brata jej, Wicyniusza, do Łucyi; dzieci bawiły się wówczas razem, lecz Aktea i Wicyniusa woleli sami ze sobą igrać, niż z siostrą cioteczną. Lata mijały w ciszy i zgodzie. Marcellus Petronius, wyrzekłszy się szczęścia osobistego, oddał

się gorliwie sprawom publicznym; tam szukał jedynie zadowolenia,  
dobro kraju  
było jedynym celem jego życia; nawet córka zeszła na drugi plan;  
spokojnym

był zresztą o nią, czuwała nad dzieckiem tak zacna niewiasta, jak jego  
siostra.

Mniej wszakże spokojną była o dziewczę Walerya: widziała ona  
budzące się w  
maleńkiem serduszku Łucyi skłonności, które ją trwogą przejmowały;  
trzymała je w  
tajemnicy, przed obcymi; przed własnymi dziećmi nie mówiła nigdy o  
wadach córki  
Marcelusa, ujmowała się za nią, ilekroć coś złego ktoś o niej  
powiedział.

Wprawdzie z bratem chciała nieraz pomówić o tem, co ją niepokoiło,  
lecz ilekroć  
przy nim imię córki wspomniała, brał zawsze obie jej ręce w swe  
dłonie i mówił:

"Oddałem ci ją w opiekę, ufam ci, czyni co chcesz, nie mam czasu o  
sprawach

domowych myśleć". Walerya zdwajała bacność w czuwaniu nad  
dziewczynką,

przestróg nie szczędziła, prawie nigdy nie spuszczała jej z oka, lecz  
wszystko

to nie zmieniało Łucyi: była ona upartą, dumną i zarozumiałą,  
złośliwą i

samolubną; niewolnice, ulegając jej we wszystkim, schlebiając na  
każdym kroku,

rozwijały jeszcze te smutne wady. Dziewczynka skończyła lat  
czternaście i

Walerya przyznać musiała ze smutkiem, iż nic się w Łucyi ku  
lepszemu nie

odmieniło, a ku gorszemu wiele, nie traciła wszakże jeszcze nadziei.  
Jeden ze

starych przyjaciół jej męża, były trybun Decyusz, mawiał jej zawsze:  
"Kto pilnie  
i z miłością sieje, próżno nigdy nie sieje; wcześniej, czy później  
ziarno plon  
wyda". Tym słowom Mała.  
Był to dzień duszny, gorący, taki upalny, o jakim mieszkańcy  
północnej i  
środkowej Europy pojęcia nie mają. Zmęczona nim Aktea namówiła

brata, aby poszukał chłodu w ogrodzie, otaczającym dom wuja. Na  
końcu cienistej  
alei, która od samego domu prowadziła, znajdowała się altana, a pod  
ścianami tej  
altany były urządzone siedzenia z miękkiej darni; w pośrodku  
szemrała fontanna,  
dodając chłodu, w marmurowym zaś jej basenie kapały się złote rybki.  
Aktea  
lubiła niezmiernie to ciche ustronie. Wszedłszy tutaj, rzuciła się na  
jedno z  
zielonych siedzeń, Wicyniusz siadł obok niej i chwilę, ciesząc się  
chłodem,  
wsluchiwali się w milczeniu w szmer fontanny. Wicyniusz, starszy o  
całe dwa lata  
od siostry, kochał ją bardzo i szukał jej towarzystwa, Było im we  
dwoje bardzo  
dobrze, jednej myśli tajemnej jedno przed drugim nie miało.  
— Więc ty naprawdę chcesz zostać żołnierzem? — zwróciła się naraz  
z temi słowy  
Aktea do brata, kładąc drobną swą rączkę na jego ramieniu. —  
Niedobry, obrałeś  
zawód, który nas rozdzieli... Gdy zbroję przywdziejesz, cesarz pośle  
cię do Galii  
lub Germanii, a ja tęsknić tutaj będę za tobą.  
— Ty będziesz tęskniła, a ja będę walczył z barbarzyńcami, pokonam  
ich i cesarz w

nagrodę wodzem armii mnie uczyni, kawał ziemi podaruje. Wtedy  
zbuduje sobie dom  
kamienny, otoczę go ogrodem cienistym i matkę wraz z tobą  
sprowadzę do tego domu  
— odparł chłopiec. — Łucya już dzieckiem nie jest, bez opieki się  
obejdzie.  
Biała twarzyczka Aktei zakwitła rumieńcem, niebieskie oczy  
pociemniały z  
radości, opłotła szyję brata i pocałowała go w czoło.

— Jacy bylibyśmy wówczas szczęśliwi — rzekła zniżonym głosem,  
jak gdyby się  
lękała, aby kto, usłyszawszy ją, nie skradł jej tego szczęścia. —  
Bylibyśmy u  
siebie, niezależni od kaprysów obcych ludzi. Czy ty nie spostrzegasz,  
bracie, że  
matka nasza jest codzień smutniejsza?...  
— Co boli, a czego narazie odmienić nie można, o tem lepiej nie  
mówić — odparł  
Wicyniusz. — Nie zmienisz skargą złego na dobre, a pogorszyć je  
możesz; lak mówi  
Aulus, stary mój nauczyciel.  
Lecz Aktea innego była zdania.  
— Skarga ulży sercu — odparła — prócz nas dwojga niema tutaj  
nikogo więcej. —  
Rzekłszy to, poczęła marzyć głośno o szczęśliwej przyszłości.  
— Codzień Jowiszowi składać będę ofiary i wołać do niego:  
"Gromowładny panie!  
spraw, aby Wicyniusz zdobył wieniec laurowy i wszedł do Rzymu,  
wiodąc tłumy  
niewolników za sobą".  
Chłopcu podobały się te słowa, nie przerywał więc siostrze, słuchał jej  
nawet z  
uśmiechem.  
— O, Wicyniuszu! coby to za szczęście było mieć swój własny dom,  
mieć swoje

własne ognisko i nie widzieć więcej złośliwej twarzy, nie spotykać  
gniewliwej  
Łucyi, ciągnęła dalej Aktea, ożywiając się coraz bardziej. Czy ty  
wiesz, że  
ilekroć mi się przyśni ta niedobra dziewczyna, spotyka mnie zawsze  
coś złego. Ja  
się jej boję, nienawidzę jej, jak nienawidzę wszystkiego, co jest  
brzydkie,  
szkaradne, wstrętne,..  
Twarzyczka dziewczęcia płonęła, jak róża ponsowa, błękitne oczy w  
szafiry się  
przemieniły.

— Cyt! — szepnął naraz Wicyniusz.  
Ona umilkła i poczęli się wsłuchiwać; jakiś szelest dochodził ich uszu.  
— To mama — tonem uspakajającym odezwała się po chwili Aktea.  
U wejścia do altany stanęła średnich lat niewiasta, w ciemnej szacie,  
która w  
swobodnych fałdach spływała jej od pleców, tuż za nią widać było  
starszą  
kobietę, która strój niewolnicy miała na sobie; zerwawszy się z darni,  
dzieci do  
matki pospieszyły; ona ucałowała je z kolei.  
— Akteo — rzekła, zwróciwszy się do córki — zmartwiłaś mnie: o  
bliźnim źle mówić  
nie przystoi nikomu, a tem bardziej dziewczęciu młodemu, którego  
serce odznaczać  
się powinno słodyczą, ty zaś mówiłaś źle o siostrze swojej,.. To  
zwiększa winę.  
Mała, zawstydzona, spuściła oczy, próbowała jednak się  
usprawiedliwić.  
— Alboż ona nie mówi o nas źle — odparła, ściągając z gniewem  
brwi — nie  
dawniej, jak wczoraj, nazwała nas przybłędami.  
— Kto na ciebie kamieniem, ty chlebem na niego — odezwała się  
stojąca za Waleryą

niewolnica, Gerą tutaj zwana, stara piastunka Wicyniusza i Aktei.  
Dzieci rozśmiały się głośno.

— Wolę dobrem za dobre płacić, a złem za złe — odparła  
dziewczynka, hardo czoło  
podnosząc.

— Bo nie masz w sercu pokory, tej najpiękniejszej z cnót ludzkich —  
rzekła Gera.

Tym razem ujął się za siostrą Wicyniusz.

— Do wolnych należymy, pokora nie naszą jest cnotą.

— Im kto wyżej stoi, tem więcej cnót posiadać powinien — odezwała  
się Walerya —

lecz przerwijmy tę rozmowę, kiedyindziej postaram się przekonać  
Akteę, iż źle

postąpiła, teraz powiem wam, z czem przyszłam do was. Oto z dobrą  
wieścią,

wieczorem, gdy słońce żarem palić przestanie, wybierzemy się na  
przechadzkę;

mówią, iż zwycięska armia powraca dzisiaj do Rzymu, że Dacya  
upokorzona; łuk

tryumfalny już stoi na Forum romanum. Chcę, aby Wicyniusz  
przyjrzał się

rycerzom, wszak to przyszli jego towarzysze.

Dzieci klasnęły w dłonie z radości i rzuciły się z podziękowaniem.

— Z tego projektu nic nie będzie — odezwał się niespodziewanie głos  
ostry,

niemiły.

Wszyscy w tę stronę zwrócili spojrzenia. Do altany weszła młoda  
dziewczyna, w

błękitnej tunice, srebrem haftowanej. Na obnażonych jej ramionach  
błyszczały

złote opaski, na nogach złote sandały; włosy jej tworzyły złocistą  
koronę nad

czołem; kroczyła dumnie, wyniośle, jak królowa; na dnie piwnych jej  
oczów tkwiła

złośliwość.

Siadłszy na darniowym siedzeniu, spojrzała najprzód po wszystkich, jakie  
wrażenie sprawiły jej słowa, a widząc twarze zasmucone, dodała z  
widocznym  
zadowoleniem:

— Mam zamiar powitać zwycięzców, musisz mi przeto towarzyszyć,  
ciotko; ojciec  
pozwolił nam wziąć najpiękniejszy rydwan, najpiękniejsze konie

ze stajni; Wicyniusz, jeśli zechce, może nam za woźnicę służyć, lecz  
co do

Aktei, ta stanowczo w domu zostanie...

Dzieci spojrzały niespokojnie na matkę, miały wszakże jeszcze  
nadzieję, że

odmówi Łucyi. Lecz Walerya odparła:

— Jeśli taką jest wola ojca twego, spełnię ją niezawodnie, lecz pójdę  
go

zapytać, czemu sam nie zabierze cię z sobą.

To rzekłszy, podążyła ku domowi, a po niej Łucya zaraz spuściła  
altanę.

— Nienawidzę, nienawidzę jej — szepnęła przez zaciśnięte zęby  
Aktea i drobne  
piąstki z gniewem zacisnęła.

Gera spojrzała na nią ze smutkiem.

— Ufam, iż zacna twoja matka, odmieni twe serce — rzekła, — złe  
uczucia w niem  
kiełkują.

Aktea rzuciła się na darniowe siedzenie i szlochać poczęła; Wicyniusz  
stał

zdala, ponury i milczący; nie umiał siostry pocieszać, on także był  
rozżalony.

— Dlaczego matka zawsze pierwszeństwo oddaje Łucyi przed nami?

— pytał siebie i

burza wrzała mu w sercu.

Młody niewolnik odsunął z uszanowaniem przed Łucyą i Waleryą  
kotarę, kryjącą



wejście do sypialni swego pana. Bogato się ta komnata przedstawiała,  
posadzka  
była w niej mozaikowa, ściany z białego marmuru, ozdobione  
malowaniem,  
wyobrażającym jaskrawe ptaki, w rogach pokoju stały wykute ze  
spiżu popiersia  
przodków Marcelusa. On

sam spoczywał w tej chwili na wygodnej, miękkiej sofie, w togę białą  
owinięty.

Zdawał się drzemać. Był to starzec już sześćdziesięcioletni, z głową  
przyprószoną siwizną, lecz krzepki jeszcze i silny; wobec niego

Walerya czuła

się zawsze nieśmiałą.

Sądząc, iż brat śpi, zatrzymała się u wnijscia i już cofnąć się chciała,  
gdy

Marcelus rzekł, powstając:

— Czekałem na ciebie.

— Niewolnik przysunął pośpiesznie dwa krzesła, a gdy Walerya i  
Łucya siadły,

Marcelus tak zaczął:

— Przystrój się wspaniale, Waleryo, żebyś dom mój godnie  
zaprezentowała; dołóż

też starań, żeby Łucya tak piękną była, jak tylko być może.

Wsiądziecie do

lektyki i udacie się na Forum romanum, gdzie zatrzymacie się w  
pobliżu łuku

tryumfalnego, ażeby dziewczę cały pochód dobrze widziało. Ja mam  
towarzyszyć

cezarowi, który chce powitać zwycięzców razem z całym senatem,  
więc towarzyszyć

wam nie mogę.

— Wola twoja spełnioną będzie, bracie — odparła Walerya. Łucya  
uśmiechnęła się z

tryumfem.

— Aktea i Wicyniusz rozpaczać będą — rzekła — mieli obiecaną tę samą przyjemność.

— Wicyniusz może być z wami — odparł Marcellus — przyda się tam niezawodnie wśród ścisku, bo na to się przygotujcie... Lecz co do Aktei, to pączek jeszcze; niechaj w cieniu rozkwita, a rozkwitnie piękniej,...

Walerya powstała i podążyła do ogrodu. Łucya pośpieszyła do siebie wybierać stosowną szatę na tak wielką uroczystość; zwołała swoje niewolnice i oglądała z niemi wszystkie suknie, pytając, w której najpiękniej jej będzie: ta purpurową radziła, tamta błękitną, inna białą, złocistą; zgody w zdaniach nie było. Łucya poczęła się niecierpliwić, nareszcie po ciotkę posłała jedną ze swych niewolnic, jasnowłosą Gunikę.

Wróciwszy do altany, Walerya zastała we łzach Akteę, a gdy jej powtórzyła słowa wuja, mała rozżaliła się bardziej jeszcze. Dla uspokojenia przytuliła córkę do serca i okrywała pocałunkami, tłumacząc jednocześnie, dlaczego musi spełnić wolę Marcellusa. Pieszczoty matki osuszyły łzy w oczach Aktei, wypogodziła czoło i nawet okazała skrucę.

— Nie gniewaj się na mnie, matko — mówiła — zapominam zawsze, ile winni jesteśmy wujowi; a gdy zapomnę, zdaje mi się wówczas, że lepiej kochasz Łucyę. Tymczasem ty, biedna, cierpisz, gdy musisz zranić nam serca... Nie martw się, matko,

wkrótce przestaniemy być zależni, Wicyniusz odznaczy się jako rycerz, cesarz go hojnie ziemią obdarzy i mieszkać razem będziemy... Jeszcze lat parę cierpliwości.

Walerya uśmiechnęła się do dziecka i pocałowała je w czoło.

— Ot, widzisz, że lepiej być pokorną i cichą — rzekła — teraz rozpacz nie szarpie twego serca i mnie nie ranisz nią...

— Jestem pokorną, bo mam nadzieję, że niewola nasza niedługo się skończy —

odparła Aktea.

Niewolnica ukazała się właśnie w altanie. — Waleryo! pani nasza was wzywa —

rzekła. Ta podniosła się natychmiast.

— Cóż, Wicyniuszu, jedziesz z nami? — spytała, zwróciwszy się do syna.

— Stanowczo nie pojedę — odparł chłopiec hardo. — Lucya proponowała mi, abym jej

woźnicą był, ubliżyła mi, więc nie myślę ułatwiać jej spotkania ze zwycięskimi

wojskami, a przytem Aktei samej nie zostawię.

— Gero, czuwaj nad dziećmi — rzekła Waleya, zwróciwszy się do piastunki; poczem

uściskawszy syna i córkę, podążyła za niewolnicą.

— Opowiedz nam, Gero, jaką baśń — poczęła prosić Aktea i pociągnęła piastunkę na zieloną darninę.

Wicyniusz siadł obok nich.

— Opowiedz — powtórzył za siostrą — prędzej doczekamy powrotu matki.

— Baśni opowiadać nie umiem, tylko prawdę — rzekła Gera.

— Niechaj będzie prawda — odparła Aktea.

— Tem lepiej, wolę prawdę — dorzucił Wicyiusz.

— Lat wiele już temu, w mieście Betleem, ścisk był wielki — poczęła opowiadać

stara — cesarz August kazał obliczyć i spisać wszystką ludność w wielkiem swoim państwie. Przybyła z tego powodu do Betleem młoda niewiasta, z rodu króla

Izraelitów, Dawida, a na imię jej było Marya, mężowi zaś Józef. Chociaż z królewskiego rodu pochodziła, była cichą i pokorną, szat kosztownych nie nosiła, tylko proste, lniane, a gdy powiedział jej, że wszystkie domy w Betleem zajęte już są przez napływową ludność, że tylko w jednej jedynej stajence jest jeszcze miejsce do najęcia, poszła pokorna do owej stajenki, aby odpocząć po drodze.

I nocy owej narodził się Synaczek, a pastuszkowie pierwsi powitali ową dziecinę, gdyż Anioł z Nieba zesłany oznajmił im o tem. Wszedłszy do stajni, czołem przed Nim uderzyli, jakoby przed królem Czołobitność ich nie wbiła w pychę matki Maleńkiej. go, wdzięczną tylko była pastuszkom za cześć okazaną jej Synaczkowi.

Wieść o narodzeniu cudownej Dzieciny, Której przybycie na ziemię Anioł ludziom zwiastował, szybko rozeszła się w różne okolice świata i trzech królów ze stron dalekich przybyło do Betleem złożyć hołd i dary Nowonarodzonemu. Przybywszy, po dzieli Maryi, że im mówiono, iż Król świata się narodził, więc zapragnęli go poznać, lecz nie wiedzieli w którą zwrócić się stronę, aż oto zajaśniała gwiazda na niebie i doprowadziła ich do Betleem... I hołd królów nie wbił Maryi w pychę: w pokorze i ubóstwie chowała Synaczka i

rósł On w mądrość wyższą od ludzkiej mądrości, w cnoty piękniejsze od tych,  
jakie dotychczas znali mieszkańcy ziemi. Gdy widział słabszego od siebie, to serce jego nie pogard?!, nie pychą biło, ale litością i spieszył z pomocą słabemu, a przed potężnym, lecz

grzesznym, nie zginał się i czołem przed nim nie, bił, bo On kolano zginał tylko przed Bogiem swoim Bogiem prawdy, dobroci i sprawiedliwości...  
Gdy spotkał trędowatego, nie uciekał od niego, lękając się zarazy, lecz zapominając o sobie, leczył go i pocieszał; gdy grzesznego widział, to nie odwracał się od niego z pogardą, szyderstwem go nie karał, ani okrutnym dlań nie był, lecz poprawić go usiłował, a kiedy burzyli się nań za to inni, pytał ich: "Któż z was jest bez grzechu?"  
Bogactw nie łaknął, na możnych Wołał, aby tem, co posiadają, dzielili się z tymi, którzy łakną z głodu umierają... Więc chciwi, dumni, zazdrośni zniechęcili Tego, który wołał głośno: "Najuboższy, najędźniejszy jest twoim bratem, wszyscyśmy równi w obliczu Boga, Pana wszechświata, wszystkich, jak braci, kochać należy i dobro m świadczyć. "  
Zniechęcili Go i zgubić postanowili; oskarżyli, iż zamierza ogłosić się królem żydowskim, że wśród spólstwa, zdobywa sobie stronników. Wkrótce też wyrok śmierci wydanym został na niewinnego, krzyżowano Go; zanim jednak umęczono, naigrawano się zeń boleśnie: koronę cierniową wbili mu na czoło, krew spływała

kroplami z jego skroni; purpurowy płaszcz włożyli na jego ramiona:

"Król! król!"

- krzyczeli, szydząc i pokazując Go palcami. On z pokorą, bez skargi znosił

szyderstwa i wzrok w górę podnosząc, szukał tam Boga swego i mówił:

" Bądź wola twoja, Panie!"

Ani razu gniewem nie wybuchnął, ani jednej obelgi katoni w twarz nie rzucił:

zawieszony na krzyżu, konał cicho w mękach najsroźszych, a gdy pragnienie

poczęło go palić: "pić" wymówił głosem słabym. Żołnierz, na straży stojący,

podał mu octu z żółcią. On, gorycz poczuwszy, wznosił znowu wzrok w górę i

szepnął: "Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. "

W chwili ostatniej modlił się zatem do swego Boga za nieprzyjaciół swoich... I

tak skonał cichy, pokorny, pełen poddania się woli Bożej, a u stóp krzyża stała

matka Jego, Maryja, równie cicha i pokorna: nie złorzeczyła oprawcom i sędziom

syna swego, nie przeklinała ich, ale za przykładem swego.

Najmilszego mówiła:

"Bądź wola twoja, Panie!"

I pokora ta zwyciężyła złość ludzką, Bóg Maryi cud sprawił:

Oplwany, wyszydzony

i umęczony; powstał z grobu i królem uznały go setki ludzi, potem tysiące, potem

miliony, a z czasem miliany milionów go uznają, bo On ciągle zwycięża swoich

nieprzyjaciół. Państwo jego objęło szerokie obszary ziemi, a z czasem szersze

obejmie, a w końcu granic nie będzie miało; cała ziemia panem go swoim uzna, bo

On ciągle podbija... I nie było, nie ma i nie będzie drugiej takiej potęgi, jaka jego jest i nie znajdzie się takiej złości, któraby wielkość Jego obalić mogła.

— Gdzież to państwo, jak się zowie ten krótki, spytali jednocześnie Aktea i Wicyniusz, a w oczach ich paliła się ciekawość i zdziwienie.

— Dziś wam tego nie powiem — odparła Gera — kiedyś, gdy starsi będziecie, może jeśli na to zasłużycie.

To rzekłszy, westchnęła i smutnemi oczyma spojrzała w dal.

— No, bawcież się teraz sami we dwoje — dodała — ja o wieczery muszę pomyśleć,

bo jeść zapewne zechcecie.

I opuściła powoli altanę, zestawivszy dzieci zamyślone o tem, co im opowiedziała...

Łucya w domu ojca zajmowała dla siebie osobne mieszkanie: składał je długi

szereg pokoiów, zbyt kownie urządzonych, o posadzkach

mozaikowych i marmurowych

ścianach; wchodziło się do nich przez taras, na którym sprowadzone z dalekich

stron palmy, tworzyły klomby. Pomiędzy nimi stały miękkie sofy i małe

wodotryski, rozrzucające ożywcze krople wody. Sypialny pokój znajdujący się tuż

za owym tarasem, z królewskim zbytkiem był urządzony; szklane drzwi oddzielały

go od pełnego zieleni tarasu, pod jedną ze ścian stało łóżko z drzewa cedrowego,

perłową masą ozdobione, do którego prowadziły stopnia dywanem zasłane; naprzeciw

widać było stół porfirowy, a nad nim, zawieszona tafla ze szlifowanego srebra

zastępowała zwierciadło; obok stołu z jednej strony wznosił się trójnóg wielki, a na nim kosz pełen różnych klejnotów, z drugiej — słup ze świecznikiem; w rogu pokoju stał posąg Wenus; na ścianach były tu i owdzie poprzyczepiane posązki, wyobrażające bóstwa domowe; kilka

wygodnych stołków i stołeczków pod nogi uzupełniały umeblowanie. Siadłszy przed zwierciadłem, Łucya przykładała kolejno do twarzy suknie podawane jej przez niewolnice i niecierpliwiła się, że ciotka nie nadchodzi; co chwila też gniewała się na którąkolwiek z dziewcząt. Właśnie Walerya wchodziła na taras, gdy usłyszała krzyk bolesny w pokoju bratanki, złąkla się i przyspieszyła kroku.

— Co się tutaj stało? — zapytała zdziwiona, gdyż nie zobaczyła nic takiego, coby tłumaczyło ów krzyk, jedynie zauważyła to, że niewolnice mają twarze

przestraszone, a Łucya jest mocno zagniewaną.

— Co się tutaj stało, słyszałam krzyk? — powtórzyła łagodnie, zbliżywszy się do jedynaczki Marcelusa.

— Gdybyś była nie tak długo pieściła się z nieznośnemi twemi dziećmi, ciotko, nic nie byłoby się stało — odparła ponuro Łucya. — Zniecierpliwiłam się czekaniem i zemściłam się na najniezgrabniejszej z moich niewolnic, inne zaś wyгнаłam. Te dwie tylko coś warte. — Tu wzrokiem wskazała stojące za nią dziewczęta. — Przywołaj Zareę, Dydono — dodała.



Czarnowłosa Fenicyanka ruszyła poważnie z miejsca, a Łucya zwróciła się do ciotki.

— Skaleczyłam ją w gniewie — rzekła niedbaje — umiesz rany leczyć, obejrzyj jej rękę.

— Więc aż do tego doszło? — spytała tonem surowym Walerya.

Łucya spuściła oczy, rumieniec wstydu wystąpił na jej lica.

— Czemuż ojciec sztylet mi podarował — próbowała się tłumaczyć.

— Bo sądził, że dzieckiem już nie jesteś i na słabszych go nie użyjesz.

— Za późne uwagi — mruknęła Łucya — zamiast łajać, wybierz raczej, ciotko,

suknię, jaką mam włożyć; wszak jestto życzeniem mego ojca.

— Wybiore, gdy ranę Zary opatrzę, jeśli jest niebezpieczną, nie pojedę z tobą,

lecz siądę przy chorej i czuwać nad nią będę — odparła z niebywałą u niej

stanowczością.

Błysk gniewu strzelił z oczu Łucyi, chciała coś powiedzieć, lecz w tej właśnie

chwili odchyliła się kotara, zasłaniająca drzwi od przyległej komnaty i do

sypialni Łucyi weszła Dydona, prowadząc pod ramię prześliczne, jasnowłose

dziewczę, niewolnicę z północnych krain pochodzącą, której na imię było Zara.

Walerya zbliżyła się do niej.

— Gdzieżeś ranna? — spytała.

Zara odsłoniła lewe ramię, rana nie była głęboka, tylko upływ krwi osłabił

dziewczę. Walerya opatrzyła ją więc prędko i uspokoiła się nieco; poleciła

wszakże Zarze, aby oddaliła się do swej izdebki i cały dzień żadnej pracy się

nie miała. Gdy ta odeszła, rzekła do Łucyi:

— Pojadę pod tym warunkiem, gdy mi przyrzeczesz, iż cały tydzień nie każesz pracować tej biednej dziewczynie.

— Chociażby cały miesiąc — odparła Łucya. zadowolona również, że rana lekka się okazała. —Radź teraz, ciotko, jaką suknię włożyć. Aby cię. przeprosić, wyznam, w jaki sposób zawiniłam, gdyż mówisz zawsze, że wyznanie szczere maże grzech ludzki... Głupia dziewczyna, przyniosła mi żółtą suknię, dowodząc, że w tej będzie mi prześlicznie; nie dość na tem, ośmieliła się przyłożyć ją do mej twarzy, więc w uniesieniu porwałam za sztylet; szczęściem trafiłam ją tylko w ramię i zdaje mi się, że nóż nie zagłębił się bardzo, bo tylko koniec ostrza jest splamiony — to mówiąc, wskazała leżący na stole nóż, na którym świeżą krew widać było.

Walerya westchnęła.

— Młodą jeszcze jesteś, ufam, że się poprawisz — rzekła.

W dwie godziny potem złocistym rydwanem zaprzężonym w białe, ogniste rumaki,

Walerya i Łucya spieszyły się ku Forum romanum. Złocistą tunikę bez rękawów

miała Łucya na sobie, na niej srebrne peplum, włosy zdobiła gwiazda dyamentowa.

— Bogini fortuny! — krzyczał tłum, zalegający plac i palcami jedni drugim

pokazywali ją sobie.

A pełno było gawiedzi na forum: kto nie mógł jechać naprzeciw rycerzy, ten

zatrzymał się tutaj. Wracały wojska z wyprawy, którą Trajan przeciw Dakom

przedsięwziął; cesarz oczekiwał zwycięzców we własnym pałacu,  
gdzie na  
dziedzińcu kazał przygotować stoły do biesiady dla całego rycerstwa,  
a wodzów i  
przedniejszych obywateli miasta do

pałacu zaprosił. Lada chwila spodziewano się wojsk; już gońce  
donieśli, że się  
zbliżają do stolicy. Przez rynek, otoczony wyniosłymi budowlami,  
kolumna mi i  
posągami, płynął bezustannie tłum różnobarwny; bo też różnorodnego  
pochodzenia  
byli mieszkańcy ówczesnej stolicy olbrzymiego państwa Rzymskiego,  
które podbiło  
całą zachodnią Europę, wschodnią Azyę, a nawet część Afryki. Wśród  
ciekawej  
gawiedzi widać było pół nagich Etiopów zgiętych pod ciężarami,  
jakie dźwigali;  
nie przyszli oni tutaj umyślnie, lecz przechodząc spotkali cały ten  
zgiełk,  
zatrzymali się i patrzyli razem z innymi, a chociaż groziła im za to  
chłosta od  
dozorcy, pod którego rozkazami ciężkie roboty spełniali, nad  
ciekawością nie  
umieli zapanować. Obok tych czarnych mieszkańców Egiptu, stali  
jasnowłosi  
Bretonowie, o błękitnych, smętnych spojrzeniach, Hiszpanie o  
ognistym wzroku,  
biało odziani Arabowie i dorodni Grecy, dalej różne, różne narody,  
których  
wyliczyć trudno, a i Rzymian nie brakło też, tych liczba przeważała.  
Jaskrawy i  
zgiełkliwy tłum pchał się, rzucał sobie obelgi lub żarty dosadne, zbijał  
się w  
masy nie do przebycia. Rydwany często musiały zwalniać biegu, gdyż  
chybaby po

ciałach ludzkich torowały sobie drogę. Lucya niecierpliwiła się, wołała na woźnicę, by najeżdżał na plebs i strachem go rozpędzał... Wreszcie minęli forum i dotarli do łuku tryumfalnego; był to rodzaj bramy skleconej z drzewa i ozdobionej rzeźbami, które przedstawiały epizody z wojny świeżo odbytej; u szczytu powiewały proporce, a wśród nich złoty orzeł rozpo-

ścierał wspaniale skrzydła. Głuchy szum, świadczący, iż wojska nadciągają, dochodził zdala. Lucya powstała i ciekawe spojrzenia posłała w dal, lecz prócz szarych obłoków kurzawy nic dojrzeć nie mogła; obłoki te potwierdzały wszakże, że rycerze jadą, więc serce jej biło niespokojnie i w stojącej pozycji wyczekiwała bohaterów dnia. Nareszcie wyłonił się orszak, powiały proporce, błysnęły orły, zarżały rumaki, zagrały trąby i rogi rzymskie, zbroje i tarcze rycerzy zaświeciły. W pierwszym szeregu jechał główny wódz wyprawy, w hełmie, wieńcem laurowym ozdobionym, obok niego dwóch trybunów. Wszyscy trzej w stal byli okuci, z ramion spływały im płaszcze purpurowe, za nimi, w zwykłym porządku, postępował zwycięski legion. Legioniści szli szeregami, w każdym szeregu znajdowało się żołnierzy, których dwóch centuryonów (kapitanów) prowadziło; młodszy szli w pierwszym szeregu, potem coraz starsi. Każdy szereg dążył w pewnym oddaleniu od drugiego, a było ich aż piętnaście. Na skrzydłach

piechoty jechała konnica, tę prowadzili prefekci; za wojskami rzymskimi, szły wojska sprzymierzonych narodów, więc Bretoni, Hiszpanie, Gallowie, a za tymi różni rzemieślnicy potrzebni na wojnie, jak kowale, cieśle i t. d., na końcu szła muzyka.

— Niech żyją zwycięzcy! — wrzasnął tłum.

— Niech żyją! — powtarzali za pospólstwem możni.

— Niech żyją! — odzywały się stąd i zowąd słabe głosy niewieście, dobywające się z lektyk i rydwanów.

Łucya była olśnioną. Lecz ona wzajemnie olśniewała wszystkich; bogatego jej stroju trudno było nie spostrzedz; rycerze wzrokiem pokazywali ją sobie.

— Jakaś można patrycyuszka — mówili jedni.

— Dyamenty i złoto, w które się przybrała, tak oślepiają oczy, iż nawet jej

twarzą nikt nie widzi — dodawali drudzy.

Ale Łucya słów nie słyszała, widziała tylko, że zwraca powszechną uwagę, i to ją

zadawałniało. Wtem spostrzegła ojca; pędził rydwanem cesarskim, szukał kogoś

wzrokiem, spojrzenia córki uparcie weń wlepione zmagnetyzowały go, spostrzegł

ją, skinął głową i dał jakiś rozkaz woźnicy. Niebawem znalazł się przy córce, a

gdy woźnica konie zatrzymał, Marcellus przechylił się do siostry i rzekł:

— Trajan chce, aby Łucya wzięła udział w uczcie na cześć zwycięzców wydanej,

przyjedźcie obie za godzinę do pałacu cezara, czekać was będę w przedsionku.

Walerya zmieszana się, chciała prosić, by ją brat zwolnił z tego  
zaszczytu,  
chciała rzec:  
— "Weź córkę ze sobą, ja wrócę do domu" — lecz Marcellus skinął na  
woźnicę i  
konie ruszyły z miejsca, zanim na słowo się zdobyła.  
Trajan kochany był przez Rzymian, dbał bowiem o dobro ludu swego;  
dla siebie  
oszczędny, prawie skąpy, dla poddanych grosza nie żałował:  
przeprowadził wielką  
drogę od morza Czarnego aż do Galii, wykopał dwa wielkie porty,  
budował mosty,  
starał się wszelkimi sposobami ułatwić

komunikację handlową w swym państwie. Wkrótce zamożność, a z  
nią oświata  
podniosły się w Rzymie. Łagodnym był przytem, nigdy zbyt surowo  
poddanych nie  
karał, a nagradzał hojnie; "złote czasy nastały" mówili Rzymianie za  
jego  
rządów; lecz niestety nie wszyscy poddani mogli te słowa powtórzyć:  
ojcem był  
dla jednych, ojczymem dla drugich. Ci wszakże, którzy byli na ucztę  
proszeni do  
wybranych należeli; z radością też biegli do pałacu cesarza, nie lękając  
się, że  
może ich tam spotkać śmierć zdradziecka, jak to bywało za czasów  
Nerona; pewni  
tylko, że czas wesoło przepędzą i że gościnny cesarz ugości ich  
wspaniale.  
Drżące jednakże zeszły ze swego rydwanu Walerya z Łucyą i  
skierowały się do  
galeryi, prowadzącej do sali uczt; mimo że prowadził je sam  
Marcellus, serca ich  
były niespokojnie; lecz obraz, jaki po chwili przedstawił się ich  
oczom, kazał

obu zapomnąć o strachu, gdyż obie w zdumienie i zachwyt  
wprowadził. Wśród  
marmurowych kolumn, wspierających ozdobione freskami sklepienie,  
ujrzały  
olbrzymi stół, otoczony rozłożonymi na wygodnych łóżach  
senatorami, w długich  
białych togach i rycerzami, lśniącymi zbroją, wielu wszakże dla  
wygody zrzuciło  
togi i zbroje; ci mieli na sobie kolorowe tuniki, szyje zaś, ich ramiona  
i nogi  
do kolan były obnażone.  
Kolorowe lampy, zawieszane przed sklepieniem, tworzyły nad  
głowami  
biesiadujących gorejące wieńce, które dodawały blasku klejnotom, w  
jakie matrony  
rzymskie i dziewice postrojone były; miła woń

kwiatów unosiła się w powietrzu, gdyż wszyscy niemal goście różane  
lub liliowe  
wieńce mieli na skroniach. Na miejscu najwyższym w złocistym  
krześle siedział  
Trajan i okiem zadowolenia wodził dookoła; potem wzięwszy puhar  
w dłoń i  
podniósłszy go zwolna w górę, rzekł:  
— Na cześć zwycięzców wychyłam tę czarę. Wylawszy, jak zwyczaj  
kazał, część  
złotego  
płynu na posadzkę, aby bogowie rzymscy nie pomówili go, iż nie  
dzieli się z nimi  
darami, jakie ma z ich łaski, zbliżył kielich do ust, a za jego  
przykładem inni  
toż samo uczynili.  
Pod ścianami sali biesiadniczej stał tłum kobiet i mężczyzn, strojnych  
w kwiaty,  
złoto i kosztowne materye; niższe oni wszakże zajmowali miejsce w  
społeczeństwie

rzymskiem, gdyż byli to różni artyści, fleciści, śpiewacy,  
improvizatorowie i  
tancerze; ci czekali wezwania cezara, aby popisać się ze swymi  
talentami, a  
potem, gdy dostojni goście od stołu odejdą, mieli się pożywić  
pozostałymi po  
nich resztkami. Właśnie cesarz przypomniał ich sobie i zwrócił się ku  
nim;  
chciał, by jeden z poetów uczcił pochwalnym wierszem pogromców  
Daków. Wtem  
spozrzegł Petroniusa z córką i siostrą, uśmiechnął się łaskawie i rzekł:  
— Bądź pozdrowion, Marcelusie, przedstaw mi córkę i siostrę, a  
potem zasiądźcie  
przy stole moim, jak przyjaciele wśród przyjaciół.  
Petronius spełnił rozkaz cezara. Łucya przyklękła u stóp tronu, a  
Trajan,  
spojrzawszy na dziewczę, któremu bogowie urody poskapili, rzekł:

— Córo Marcelusa, niechaj serce twoje błyszczy cnotami jasno i  
pięknie, jak ta  
gwiazda wśród splotów twoich błyszczy wartością swoją, a  
zdobędziesz trwałą  
miłość ludzką, bo cnota nie mija, jak uroda, którą starość warzy, niby  
zima  
kwiaty.

Zmieszana Łucya nie wiedziała, czy dziękować cesarzowi, czy mieć do  
niego urazę  
za to odezwanie się; ze spuszczonej w posadzkę oczyma poszła za  
ojcem, który  
wskazywał jej miejsce wśród dziewic rzymskich; nie było tam ani  
jednej tak  
strojnie przybranej, jak ona; spozrzegła to niebawem i rozpogodziła  
czoło.

Tymczasem Trajan zwrócił się do Waleryi.

— Tyżeś to małżonka mego trybuna, który zginął śmiercią  
walecznych w pierwszej



bitwie, jaką z Dakami stoczyłem? — zapytał ją.  
— Tak jest, boski cesarze — odparła nieśmiało,  
— Dziś dzień radości i tryumfu dla mnie i dla całego Rzymu, chcę  
widzieć tylko  
radosne spojrzenia w około siebie, — mówił dalej — słyszałem, że  
masz syna, że  
już wyrasta na młodzieńca, niechaj Marcelus przyprowadzi go do  
mnie jutro,  
uczynię go rycerzem, do fortuny i sławy utworzę mu drogę.  
— Bądź błogosławiony, Trajanie, ojciec ludu rzymskiego — odezwała  
się wzruszona  
Walerya — toż chłopiec marzy tylko o tem, żeby rycerzem zostać.  
Cezar skinął jej głową i zwrócił spojrzenie znowu na artystów. Ci  
zaraz poczęli  
kolejno popisywać się przed biesiadnikami; goście przerwali rozmowę  
i z pułkami  
w rękę, rozłożeni na miękkich

poduszkach, słuchali z rozkoszą improwizowanych pochwalnych  
wierszy, pieśni i  
muzyki.  
Dzień świtał, gdy zmęczone różnymi wrażeniami córka i siostra  
Marcelusa wróciły  
do domu: Łucya udała się natychmiast do siebie. Czekwały na nią  
pokorne  
niewolnice; jedna zdjęła z niej szaty, inne poprowadziły ją do łazienki,  
gdzie  
kąpiel dla niej przygotowały; przemawiała do nich teraz łagodnie,  
nawet o Zareę  
się zapytała, czy gorzej się nie czuje, śnać nie zapomniała jeszcze  
słów  
Trajana.  
Tymczasem Walerya pośpieszyła do dzieci, by je ucałować, zanim na  
spoczynek się  
uda, lecz jakże się zdziwiła, gdy oboje zastała u Gery, która im  
opowiadała

jakaś ciekawą opowieść. Tak się zasłuchały, że musiała dłonie  
położyć im na  
ramionach, aby zwrócić ich uwagę na siebie.

— Ach, to mama! — rzekła Aktea i z pieszczotami ku niej się rzuciła.

— Dobrą nowinę przynoszę dla ciebie, Wicyniuszu — odezwała się  
Walerya — cesar  
obiecał uczynić cię rycerzem.

Okrzyk radości wydarł się z ust chłopca; jak stał; rzucił się do nóg  
matki.

— Komu zawdzięczam to szczęście, czy samemu Trojanowi, czy  
wujowi, który może  
się wstawił za mną, tego nie wiem — rzekł, cisnąc do ust ręce matki  
— ale to

wiem, żeś ty pierwsza zwiastowała mi szczęście i dziękuję ci za nie.  
Aktea też była uradowaną: jasno przed nimi malowała się przyszłość;  
jeszcze lat  
kilka cierpień upokorzeń, a czeka ich nagroda.

— O będę teraz pokorną, pokorniejszą od najpokorniejszej z  
niewolnic Łucyi —

odezwała się ze zwykłą sobie energią Aktea, oplótłszy ramiona w  
około szyi matki

— będę tak pokorną, jakim był Król świata.

Walerya spojrzała na Akteę przestraszona.

— O kim ty mówisz? — zapytała zniżonym głosem i przygarnęła  
córkę do siebie, jak

gdyby naraz spostrzegła grożące jej niebezpieczeństwo.

Aktea wskazała palcem na starą piastunkę.

— Zapytaj się jej o to, matko, — rzekła z uśmiechem — ona  
opowiadała nam wczoraj

i przed chwilą jeszcze o Królu, którego państwo kiedyś będzie  
najrozleglejsze i

najpotężniejsze; o Królu, którego miliony ludzi uznaje dziś panem  
swoim, a

którego z czasem uznają miliony milionów. On wie i wiedział o tem, a  
przecież

cichym i pokornym był zawsze.

— Nie mów, dziecko, o tym Panu głośno, bo nie znasz Go jeszcze —  
odparła

wzruszona Walerya, całując córkę w czoło — i nie równaj się z nim  
nigdy, bo nie

było takiego, któryby Go doścignął w doskonałości i podobnego Mu  
nigdy nie  
będzie.

— Jakże ja bym chciała poznać Go — odparła Aktea.

— Bądź codzien lepszą i pokorniejszą, a poznasz Go może z czasem

— odezwała się

Gera.

## II.

Ludno i gwarno przed domem Marcelusa Petroniusa. Obchodzi on  
dzień urodzin córki

swej jedynej Łucyi; sprosił najpierwszych dostojników Rzymu,  
poważne matrony,

młode dziewczęta, osiwiiałych mężów i piękną, dzielną młodzież;  
chce, aby córkę

wszyscy jego przyjaciele i krewni poznali. Łucya urody nie posiada,  
lecz jest

jedyną spadkobierczynią wielkiej fortuny. Radby też widzieć los  
Łucyi

zapewniony, zanim oczy zamknie; wszakże ma już lat sześćdziesiąt,  
kto wie, jak

długo bogowie dozwolą mu jeszcze czuwać nad swą jedynaczką...

Zgiełk i tłok przed domem Petroniusa; a wspaniały to dom! zdobią go  
marmurowe

kolumny, marmurowe wschody wiodą do wielkiego perystylu, poza  
którym widać

ogromne sale o ścianach płaskorzeźbą i freskami zdobionych, za temi  
salami ogród

pełen zieleni, kwiatów, posągów i wodotrysków.

Wszystkie podwoje domu dziś na rozścież rozwarte; w dziedzińcu ciasno od niewolników i przybywających gości.  
W ogrodzie przechadzają się wcześniej przybyli biesiadnicy, bo przy szemrzących wodotryskach chłodniej, niż wśród ścian pałacu; bawią się w różny sposób: na darniowych kanapkach kilka dziewcząt szepcze, jak zwykle młode; wśród nich najpoważniejsza Łucya w białej szacie, perłami wyszytej, słucha z zajęciem opowiadania jednego z młodzieży, a okiem ku bramie ogrodu wybiega, jak gdyby jeszcze kogoś z gości oczekiwała. Kajus Fabius, młodzieniec, który ją zabawia rozmową, syn znanego wówczas w Rzymie senatora, ma na sobie ciemną tunikę złotem przetykaną, na głowie przepaskę srebrną; podobnie są ubrani jego przyjaciele, którzy śmiechom i żartom przyjaciółek wtórują.  
— Czy słyszycie, wczoraj w cyrku odbyło się świetne przedstawienie na cześć zwycięzców Daków! — odezwała się naraz Łucya — jakże żałuję, że o tem nie wiedziałam; byłabym ojca uprosiła, żeby mnie zabrał ze sobą, jeszcze nigdy nie byłam w cyrku.  
— Podobno cesarz nowe przedstawienie gotuje — odezwał się Kajus — lecz nie wiem, czy córka Marcelusa odważy się pójść na nie.  
— Dlaczego? — spytała zaciekawiona Łucya.  
— Niewieście serca zwykle są trwożliwe, a tem bardziej serca pieszczonych jedynaczek — odparły młody Fabius.

— Moje nie zna, co trwoga — rzekła Łucya wyniośle.

— A cóż to będzie za przedstawienie? — poczęły pytać inne dziewczęta.

— Na żądanie ludu, skazani na śmierć chrześcijanie wystąpią w tym dniu w cyrku i

walczyć będą z dzikimi zwierzętami.

Kilka kobiet wykrzyknęło ze zgrozą i twarz ukryło w dłoniach.

— Więc łagodny Trajan ma zamiar naśladować okrutnych poprzedników swoich? — z

odcieniem smutku w głosie odezwała się jasnowłosa siostra Kajusa, Niną zwana.

— Cezar jest panem ludu, lecz często też jego niewolnikiem — odparł Kajus. —

Pełna przesądów sekta powstała na ziemi judejskiej, szerzy się coraz bardziej w

państwie Rzymskim; Pliniusz młodszy, gubernator Bitynii, donosił, iż

chrześcijanie przestają się kryć ze swymi obrzędami, że często jawnie je

odprawiają, lud woła: "Śmierć Nazareńczykom. " Cezar lęka się

wzburzenia, gdyż pokój miłuje, więc obiecał ludowi igrzyska, przypominające czasy

Nerona. Łucya podniosła na mówiącego wzrok błyszczący ponurym blaskiem.

— Możesz być pewnym, Kajusie, iż nie zemdleję na tem przedstawieniu — rzekła.

— Jeśli zemdlejesz, ratować cię będę, pani — odparł Kajus — gdyż i ja owych

igrzysk nie opuszczę.

O parę kroków dalej, w alei, którą tworzyły smutne cyprysy, przechadzało się

kilku poważnych

mężów, rozprawiali oni o zasługach zwycięskich wodzów w wojnie z Dakami, a także

o postępowaniu Trajana z chrześcijanami.

— Nie pojmuje cesarza — mówił biały jak gołąb trybun Statyliusz — słyszałem sarn

nieraz, jak dowodził niewinności chrześcijan, a dziś pozwala ich prześladować i

obietuje ludowi urządzić z nich krwawe igrzyska.

— I nam każe patrzeć na nie — z westchnieniem odezwał się również dość poważny

wiekami senator — udam chyba chorego.

— Ja z chęcią pospieszę na te igrzyska — przemówił Unzilus, senator

— nienawidzę

chrześcijan i radbym ich wytepić w dniu jednym.

— Żałuję, iż nie byłem w Jerozolimie, gdy krzyżowano biskupa Nazareńczyków,

Szymona, ciekawe to było widowisko — rzekł Rufus, bogaty

obywatel Rzymu —

chętnie czwartą część mych dochodów oddałbym cesarzowi za tę chwilę.

— Toć starzec już stułetni ów Szymon — rzekł Epicharis — i miałbyś ochotę

patrzeć na jego męki.

Rozśmiał się rubasznie Rufus.

— Miał lat w chwili śmierci; oni czarami przedłużają sobie życie — odparł

cynicznie.

— Nie znoszę ich — rzekł Unzilus — chcą, by ludzie żyli, jak żebracy.

Takie różne zdania głosili poważni mężowie, a opodal nich bawiła się swobodnie

gromadka dzieci, nie troszcząc się o postępki cesarza; te goniły

jaskrawe motyle,

zrywały kwiaty i ścigały się

z zapalem, śmiały się i weseliły; kilka poważnych matron  
przypatrywało im się  
zdaleka. A dalej jeszcze, na miękkim kobiercu, rozesłanym wśród  
trawnika, kilku  
mężczyzn zabawiała się grą w kości; na twarzach ich chciwość się  
maluje,  
chwilami gniew i zazdrość migoce w ich oczach... Nie umieją  
korzystać z  
rozkosznej chwili: niebo takie pogodne, wietrzyk taki łagodny, tyle  
pięknych  
kwiatów w ogrodzie, takie poważne i ciekawe rozmowy toczą się pod  
cieniem drzew,  
a oni złe uczucia budzą w swych sercach i męczą się niemi...  
W sali jadalnej, która do ogrodu prowadzi, Walerya z niewolnicami  
przygotowuje  
stół do wieczery; już przykryły go białym płótnem, rozstawiły  
srebrne talerze i  
kryształowe puhary; teraz niewolnice sypią kadzidła na żarzące się  
węgle na  
trójnogach, które się wznoszą w rogach pokoju; wonny dym rozplywa  
się w około;  
stary niewolnik zapala lampy na świecznikach, zdobiących stół  
biesiadny. Walerya  
stroi go pełnymi soczystych owoców koszami. Wtem wbiegła Aktea,  
za nią dwie  
niewolnice przyniosły wieńce zielone z dębowych liści uwite i  
poczęły wszystkie  
trzy stół nimi otaczać. Aktea czyni to umiejętnie, tworzy malownicze  
festony w  
okół białego płótna; wspaniale wygląda teraz ta sala biesiadna.  
Naraz na dziedzińcu coś zaturkotało.  
— Z wyścigów wracają — rzekła Aktea i oderwawszy kawał  
girlandy, który jej był  
zbytecznym, pobiegła z nim zarumieniona do okna. Walerya nie  
zauważyła  
wzruszenia dziecka; pośpiech, z jakim

dziewczynka wyjrzała przez okno, wzięła za prostą ciekawość;  
zanadto była  
zajętą, by baczniejszą uwagę na córkę zwrócić mogła. Nie prosta  
ciekawość  
pociągnęła tymczasem Akteę do okna: oczy jej płonęły gniewem;  
widocznem było, że  
jakieś silne wzruszenie wstrząsa jej sercem.  
— Okrutny, okrutny — szeptały jej usta — nienawidzę go...  
Na podwórzu stały dwa rydwany srebrne, które dopiero co przybyły.  
Dwóch młodych  
ludzi zeskoczyło z nich i oddało wodze rumaków niewolnikom, sami  
zaś ku ogrodowi  
się skierowali. Obaj byli dorodni, krzepcy i strojni; jeden miał na  
sobie  
błękitną, drugi purpurową tunikę, ramiona i nogi do kolan obnażone,  
złote  
przepaski na głowach i także naramienniki.  
Gdy weszli do ogrodu, wszystkie spojrzenia zwróciły się na nich, a na  
twarzy  
Łucyi odbiło się wielkie zadowolenie; uprzejmym uśmiechem  
powitała obu, poczem  
zwróciła się do tego, który purpurową tunikę miał na sobie i zapytała:  
— Któryż z was zwycięzcą, dostojny Scypionie?  
— Ojciec twój, Łucyo, obwieści imię bohatera — odparł młody  
człowiek — on z  
kilku starszymi był sędzią wyścigu.  
Scypion ścigał się ze swoim przyjacielem, Warusem; wielki dąb,  
rosnący na krańcu  
gaju, znajdującego się w pobliżu pałacu Petroniusza, posłużył za metę.

— Wolałabym, żeby zwycięzcą był Scypion — rzekła Łucya z  
uśmiechem.

Młodzieniec skłonił się przed nią.

— Umiem cenić łaski szczodrej Łucyi — odparł, chyląc czoło.



— Spleciecie wieniec dla zwycięzcy, a podczas uczty wybierze sam  
tę, która ma go  
nim uwieńczyć — ozwał się Marcellus, zbliżając się do młodzieży.  
— Skrzydła miały chyba konie Scypiona — mówił dalej — a  
bogowie, którzy mu  
sprzyjają zawsze, uczynili je dla śmiertelnych oczów niewidzialnymi;  
toż Warrus  
polowy drogi nie przebiegł, gdy on był już u mety.  
— Każda niechaj wieniec osobny uwije — rzekła Łucya — bo nie  
wiemy, od której go  
zwycięzca zażąda.  
Dziewczęta rozbiegły się po ogrodzie i poczęły zrywać najpiękniejsze  
kwiaty;  
niebawem korony dla bohatera były gotowe. Właśnie Walerya  
powiadomiła brata, że  
uczta czeka na stole. Marcellus zaprosił gości do sali jadalnej; zasiedli  
do  
biesiady, podnieśli w górę napełnione winem czary; najpierw na cześć  
bogów  
wylali na posadzkę część złotego płynu, potem sami pić i jeść poczęli;  
gwar,  
żarty i pieśni krążyły koło stołu, niewolnicy biegali, usługując.  
Zmęczona przygotowaniami, Walerya usunęła się do siebie, lecz mała  
Aktea została  
i nie opuściła jeszcze okna, z którego przed chwilą przypatrywała się  
powracającym wyścigowcom, tylko teraz zwró-

ciła spojrzenie na biesiadujących, a raczej na dwóch rywali. Ilekroć  
patrzyła na  
Scypiona, w oczach jej płonął gniew poważny; ilekroć zwracała  
spojrzenie na  
Warrusa, gniew gasł i źrenice Aktei jasne i pogodne się stawały.  
— Scypionie, która z dziewic uwieńczyć cię ma jako zwycięzcę? —  
odezwał się  
wesoło Marcellus Petroniusz.  
Scypion powstał, spojrzął po sali, poczem oczy jego przeniosły się na

niewolnice, czekające zdala rozkazów, a, od niewolnic ku oknu, w którym stała Aktea. Za spojrzeniami Scypiona, pobiegły spojrzenia innych biesiadników, w sali zapanowało milczenie.

— Na Jowisza! — wykrzyknął naraz Scypion — nikt inny czoła mi nie uwieńczy, tylko ta mała boginka leśna, która ku mnie wybiegła, gdym pędził rydwanem do mety, a teraz tutaj zjawiała się niespodzianie. To rzekłszy, klęknął przed Akteą.

— Kimkolwiek jesteś, ziemianką, czy boginią, patrycyuszką, czy niewolnicą, wieniec, włożony twemi rękoma na moje skronie, koroną królewską będzie mi się wydawał — dodał, chyląc czoło.

Gdyby Marcellus patrzył w tej chwili na córkę, spostrzegłby może, jakie złe uczucia kielkują w młodem jej sercu: szkaradna zazdrość wypełzła na jej twarz, która stała się purpurową, a potem trupiobladą, oczy zamigotały złością, dłonie skurczyły się konwulsyjnie. Lecz Marcellus nie widział tego, gdyż

zajęty był w tej chwili siostrzenicą. Pewnym był, że mała zawstydzi się i uciecze z sali lub ucieszy się i z tryumfem spojrzawszy po wszystkich, uwieńczy bohatera; czekał niecierpliwie, jak postąpi dziewczynka, czekali wszyscy.

Młode dziewczę mierzyło tymczasem przez długą chwilę gniewnym wzrokiem klęczącego u jej stóp Scypiona i przypatrywało mu się w milczeniu...

Wreszcie Aktea rzekła:

— Nie ten, który pierwszy dobiegł do mety, z rąk moich wieniec  
otrzyma — zaczęła  
poważnie — lecz ten, który ma w piersiach litościwe serce... Nie ten,  
który dla  
sławy gotów zdruzgotać maluczkich i słabych, lecz ten, który zrzeka  
się sławy,  
gdy ona innych kosztować ma za drogo.  
To rzekłszy, podniosła czoło, wzrokiem obiegnęła stół, otoczony  
biesiadującymi i  
zatrzymawszy go na współzawodniku Scypiona, dodała:  
— Zbliź się, Warrusie, mój wieniec tylko twoje skronie ozdobi.  
Warrus z uśmiechem postąpił do dziecka i zadawalniając je, klęknął  
przed nim.  
Aktea ściągnęła z ramion zieloną girlandę, splotła ją i ustroiła nią  
czoło  
młodzieńca, uznanego przez nią za bohatera dnia.  
Scypion podniósł się ponury, wino szumiało mu w głowie, obelga  
paliła go.  
— Przysięgam na Jowisza, Warrusie, że ja ci ten wieniec wydrę  
kiedyś — rzekł  
przez zaciśnięte zęby i opuścił salę biesiadną.

— Akteo, wytłómacz, co znaczy twoje postępostępowanie? — zapytał  
surowo Marcellus  
— obraziłaś jednego z moich biesiadników, za co, dlaczego?  
Dziewczynka wystąpiła na środek sali.  
— Byłam tylko sprawiedliwą — odezwała się — opowiem zaraz  
wszystko: Wiłam w gaju  
wieńce, aby stół biesiadny ustroić, gdy naraz turkot kół usłyszałam;  
spieszę na  
skraj lasu, patrząc, zdala pędzą dwa świecące rydwany, dwa białe konie  
z  
rozwianymi grzywami, z chrapami rozdartymi je ciągną, a wodze  
rumaków trzymają  
dwaj bogowie chyba, tak pięknymi wydali mi się młodzieńcy, którzy  
stali na

rydwanach; gonię ich wzrokiem, wtem spostrzegam, że na drodze  
siedzi dziecina  
maleńka, o złotej, pełnej kędziorów główce, o purpurowych  
usteczkach, brak jej  
tylko skrzydeł, łuku i kołczana ze strzałami; chłopczyna ani domyślał  
się, jakie  
mu grozi niebezpieczeństwo; różową dłonią przesypywał piasek  
złotawy i śmiał  
się, niebożę, z tej zabawki. Podbiegłam do niego, biegnąc, krzyknęłam  
na  
pędzących:  
— Stójcie! bo dziecię zginie... Posłyszeli mnie.  
— Sławy zwycięzcy dla marnego bębna nie poświęcę — odparł  
Scypion — a byli wtedy  
na jednej linii, gwizdnął na konia i żwawiej jeszcze popędził.  
Warrus skinął mi głową, jakby dziękował, że go ostrzegła,  
wstrzymał konia,  
potem zboczył i drogi sobie nałożył. Ja się rzuciłam na ratunek,  
bogowie mi  
sprzyjali, cudem maleństwo ocaliłam: gdy

uchodziłam z niem, czułam, że para, lecąca z chrap rumaka Scypiona,  
w twarz mi  
wionęła, że koła jego rydwanu otarły się o moją suknię.. nie  
zmiażdżyły nas  
wszakże, a gdym złożyła dziecinę na murawie gaju, wybiegła z pośród  
drzew jego  
matka i przypadła do nas... O, gdybyście widzieli jej radość, żadne  
dyamenty już  
mi się nigdy tak podobać nie będą, jak te łzy wdzięczności, któremi  
ręce moje  
oblała i już nigdy o inną nagrodę dobijać się nie będę.  
Umilkła i wzrok, w którym łzy wzruszenia błyszczały, na Marcelusa  
podniosła. On  
był wzruszony, skinął na nią, a gdy zbliżyła się doń nieśmiała,  
pocałował ją w

czoło.

— Wistocie Warrus na wieniec zasłużył — rzekł poważnie.

— Kto ona, kto ta mała? — szeptać poczęli biesiadnicy do siebie.

Posłyszał pytania Petroniusz.

— Aktea, córka mej siostry — rzekł głośno — ojciec jej zginął w walce z Dakami.

— Na cześć dobrej Aktei wychylam tę czarę! — zawołał Warrus i podniósł szklanicę

pełną rubinowego płynu.

— Na cześć Aktei, córki dzielnej Waleryi — wołali inni.

Kobiety wyciągały do dziewczynki ramiona, pieścizotami ją darzyły; jedna Łucya

siedziała posepna, a gdy mała przesuwiała się koło niej i nieświadoma, że

rozgniewała ją na siebie, zwróciła się

do niej ze słowami: "a ty, siostrze, nie dasz mi pocałunku?" syknęła raczej, niż

odpowiedziała:

— Precz! wygnałaś z domu naszego najmilszego z gości.

Usłyszał te słowa Wicyniusz, który niedaleko siedział i pocałunkiem wynagrodził

Aktei niegrzeczność kuzynki.

Jeden tylko z biesiadników widział, jakich wrażeń doznała Łucya, gdyż ten nie

spuszczał jej z oka; dziedziczka ogromnej fortuny budziła w nim cześć, był jej

kornym niewolnikiem i schlebiał jej na każdym kroku. Jednakże w tej chwili rad

był temu, co się stało, gniew Łucyi nie sprawiał mu przykrości. Chcąc zwrócić

uwagę jej na siebie, począł znowu mówić o mającym się odbyć przedstawieniu w

cyrku, a przedmiot ten zajął wszystkich. Ci i owi poczęli się odzywać, że

wybierają się na igrzyska, zapowiedziane przez Trajana.

— Wreszcie cesarz uwierzył, iż chrześcijanie są niebezpieczni dla Rzymu i za przykładem swych poprzedników tępić ich zamierza — odezwał się senator Kwitylian — jutrzejsze przedstawienie, to początek widowisk krwawych, jakie nas czekają; tak mówią ci, którzy obcują codzień z cezarem. Rozmowa się ożywiła, każdy inne zdanie głosił, większość była przeciw chrześcijanom, kilka osób zaledwie ośmieliło się wyrzec zdanie, że religia chrześcijan, miłość i przebaczenie uraz głoszą ca, dla nikogo niebezpieczną być nie może; iż Nazareńczycy często świadczą dobrze swoim nieprzy-

jaciołom, że gdy kogo w nędzy i cierpieniu spotkają, to niezważając, jaką wiarę

wyznaje, wspierają go.

Większość krzyczała na te słowa, że chrześcijanie są czarnoksiężnikami, podpalaczami i oszustami, poczem z zadowoleniem przypominała krwawe panowanie Nerona.

— Żałuję, że nie żył w owych czasach — rzekł Kajus do Łucyi — ciekawe to było

widowisko owe pochodnie z chrześcijan porobione.

— Jakże cesarz je urządził? — zapytała Łucya.

— Kazał w ogrodzie swoim powbijać w ziemię całe szeregi pali wysokich — odparł

Kajus — poprzywiązywać do nich chrześcijan na śmierć skazanych, oblać ich smołą

i podpalić. Od tych pochodni łuna rozlała się podobno nad całym Rzymem, a jęki

konających słychać było na wszystkich ulicach miasta. '

Nawet na twarzy Łucyi odmalowała się zgroza; w sali zapanowało milczenie

posepne; niejednemu się zdawało, że widzą wchodzące szkielety opalone, że słyszą

wołania: "Sprawiedliwości".

Aktea obu rączkami przycisnęła serce, gdyż ból dotkliwy w niem uczuła.

— A jednak ci ludzie wzbudzili wówczas podziw i szacunek tylko — ozwał się po

chwili trybun Statilus — Neron podobno przeliczył się w swem okrucieństwie, bo

wielu z pogan uklękło u stóp pochodni i prosiło o błogosławieństwo umierających;

chrześcijanie, konając w srogich mękach, nie jęczeli,

Jak mówi Kajus, lecz śpiewali hymny na cześć swe-

go Boga, co wprawiało w zdumienie i zachwyt tłumy: setki przyjęły nazajutrz

wiarę Nazareńczyka.

— Mówisz, jakgdybyś blizkim był przyjęcia wschodniego zabobonu

— odezwał się ze

wzgardą Rufus.

— Rozumny niczego się nie wyrzeka — odparł Statylius.

— Na to przysiędz mogę, że chrześcijaninem nigdy nie będę — wykrzyknął z gniewem

Rufus.

— I ja! i ja! — poczęli wołać inni. Wzburzenie rosło.

Chcąc je zażegnać, zabrał głos Marcellus.

— Czyście słyszeli, za co skazanym został w Jerozolimie na ukrzyżowanie Szymon,

biskup Nazareńczyków? — zapytał.

— Za co? — poczęto pytać z różnych stron.

— Za to, że namawiał podobno Trajana, aby uznał Chrystusa.

— Śmiałość nie lada!

— Lecz mówmy o czym innym, a nie o Nazareńczykach, to przedmiot do rozmowy dziś

niebezpieczny.

— Prawda, prawda — potwierdziło kilka głosów i poruszyli mniej poważną kwestyę.

Aktea usunęła się z pod okna; rozmowa, którą teraz prowadzili, nie zajmowała

jej, czekała, czy nie wrócą do poprzedniej; w jej dobrym sercu obudziło się

współczucie dla prześladowanych. Gdy Kajus o pochodniach żywych opowiadał,omal

płaczem nie wybuchnęła; radaby była usłyszeć jeszcze coś o

Nazareńczykach; ich

odwaga w znoszeniu mąk

uwielbienie w jej obudziła; litowała się nad nimi i czciła ich

zarazem. Świtało

już, gdy goście Marcelusa opuścili dom jego. Aktea z wolna udała się do siebie,

lecz spać nie mogła; zmęczoną jednak była, więc rzuciła się na posłanie, ale

rychło zerwała się z niego przestraszona: blade twarze męczenników otoczyły jej

łóże i nachyliwszy się ku niej, zdawały się szeptać: "Strasznie cierpieliśmy".

Uciekła przed nimi do m. atki. Walerya właśnie się obudziła i ujrzawszy

wchodzącą, skinęła na nią. Aktea przytuliła się do niej.

— Mamo, czyś ty słyszała o tych chrześcijanach, których tyłu okrutny Nero

namordował, a których Trajan zaczyna prześladować? — drżącym zapytała głosem. —

Podobno ma z nich urządzić krwawe przedstawienie w cyrku?

— Kto ci to powiedział, dziecko? — krzyknęła Walerya i twarz jej pobladła

śmiertelnie, poczem przytuliwszy mocniej córkę do siebie, drzeć na całym ciele

poczęła.



— Czy ty ich znasz, mamó? — spytało zdziwione dziewczę.  
Walerya już zapanowała nad sobą i pocałowała dziewczynkę w czoło.  
— Żal mi tych nieszczęśliwych — odparła.  
Wejście jednej z niewolnic przerwało tę rozmowę.  
— Marcellus Petroniusz chce się z tobą widzieć, pani — rzekła niewolnica.

Walerya poczęła szybko się ubierać, niebawem przestąpiła próg sypialni brata.  
— Jedną nowinę mamy ci obaj zwiastować — odezwał się Marcellus, wskazując jej krzesło. — W tej chwili wyszedł z domu mego poseł cesarza, który rozkaz jego nam przyniósł. Trajan przeciw Partom się wybiera, obaj z twoim synem mamy mu towarzyszyć.  
Walerya błada usunęła się na krzesło.  
— W takiej chwili zostaniemy bez opieki — szepnęła.  
— Jakaż to chwila? — zapytali razem Wicyniusz i Marcellus.  
— Podobno Trajan wydał rozporządzenie, aby prześladowano chrześcijan — odparła.  
Petroniusz ruszył ramionami.  
— Cóż nas to obchodzić może — rzekł obojętnie — gotów jestem przysiąc, że nie ma ani jednego chrześcijanina w moim domu; gromowładny Jowisz, stojący wśród jego dziedzińca, strzeże go od występnych.  
Walerya pochyliła czoło.  
— Nazywasz ich występnyimi, bracie? — spytała. Na czole Petroniusza ukazała się zmarszczka podłużna.  
— Są nieposłuszni cesarowi, a zatem występni — odparł z odcieniem niecierpliwości w głosie przecież nie trzymasz z nimi, Waleryo? Radzę ci, nie

odzywaj się w ten sposób... Jeśli cesarz nakazał prześladowanie chrześcijan, to liczba szpiegów po-

mnoży się niezawodnie; najlepiej teraz wiele nie mówić o chrześcijanach.

To rzekłszy, zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Kiedyż odjeżdżacie? — spytała go Walerya.

— Jutro, pojutrze najdalej.

— Tak rychło — szepnęła i w oczach jej zaświeciły łzy, lecz

Wicyniusz nie

dozwoił im spłynąć po twarzy matki.

— Nie będziesz przecież płakała, mamó, tego, żem ja szczęśliwy — rzekł z

czułością — droga do sławy i majątku otwiera się przede mną.

Pobłogosław mi, aby

mi się szczęściło.

To mówiąc, ukląkł przed nią, a ona obie ręce na głowie jego położyła i

wzniósłszy wzrok ku niebu, szeptała jakieś słowa, których nikt nie dosłyszał.

Wyprawa, jaką Trajan przeciw Partom przedsięwziął, odwlokła krwawe

przedstawienie cyrkowe, o którym mówiono w Rzymie; upewniano, że dopiero gdy

cesarz powróci, jako zwycięzca, urządzi je z całą wspaniałością.

Tymczasem w opuszczonym przez Marcelusa domu dni płynęły zwykłym trybem: Walerya

z Akteą przy pracy czas spędzały, Łucya na próżnowaniu i kapryszeniu. Rok

właśnie dobiegał od dnia, w którym Walerya syna pobłogosławiła; siedziała ona w

swojem atryum i wyszywała rubinami jakąś srebrną tkaninę. Aktea i dwie

niewolnice pomagały jej w pracy; smutną była i bladą niezwykle, lecz nikt się

jej nie dziwił: tęsknota za ukochanymi spędza rumieniec z twarzy, a z oczów wesele. Walerya

tęskniła, a przytem niespokojną była: przez cały rok nie miała żadnych wieści od brata i syna. Może zginęli na wyprawie?... któż mógł ręczyć, że tak nie było?...

Wtem rozwarły się drzwi i weszła z królewską dumą Łucya.

— Otrzymałam zaproszenie od cezara na igrzyska, które jutro mają odbyć się w cyrku — rzekła.

— Więc cesarz powrócił!? — wykrzyknęła Walerya, zrywając się z krzesła — gdzie ojciec twój, gdzie Wicyniusz?

— Ci nie tak rychło powrócą — odparła obojętnie — Partowie jeszcze nie pokonani, powrócił sam cesarz.

— Kto ci o tem powiedział?

— Scypion, który przyniósł mi zaproszenie — odparła Łucya, złośliwie patrząc na

Akteę; lecz dziewczynka nie zauważyła nawet imienia wymienionego, o Scypionie

dawno już zapomniała, a myśl miała nadto bratem zajęta w tej chwili.

— Cesarz spełnia daną obietnicę ludowi — mówiła tymczasem dalej

Łucya — wystąpią

w cyrku chrześcijanie; nie opuścę tego widowiska, musisz mi towarzyszyć jutro, ciotko...

— Nie żądaj tego ode mnie — odparła Walerya — na męki ludzkie nie umiałabym patrzeć.

— Jeśli nie pójdziemy, cesarz powie, że sprzyjamy chrześcijanom — rzekła Łucya —

narazisz nie tylko siebie na podejrzenie, lecz i mnie, i Akteę; Scypion mówił, że

iść trzeba, chciał się z tobą widzieć, lecz powiedziałam mu, że niema  
cię w  
domu; lękałam się, by mu Aktea nowej niegrzeczności nie

zrobiła; toż po doznanej zniewadze pierwszy raz przyszedł do nas.  
— Postaram się, abyś była w cyrku beze mnie — rzekła Walerya —  
nie braknie  
znajomych matron, które się wybierają na przedstawienie, polecę cię  
jednej z  
nich. Sama wolę się narazić na podejrzenie, niż być obecną na  
widowisku.

Jeszcze mówiła, gdy na progu ukazał się siwy jak gołąb starzec.  
— Decyusz! — wykrzyknęła radośnie. Był to stryj i przyjaciel jej  
męża.

Starzec położył dłoń pomarszczoną na jej ramieniu.

— Podejrzeń nikomu nie jest wolno ściągać dobrowolnie na siebie —  
rzekł

poważnym i łagodnym głosem — jak niewolno śmierci sobie zada-  
wać, nieszczęśliwym

się czynić. Cezar życzy sobie, by cyrk był przepelniony; krwawą  
ofiara chce

zjednać łaski Bogów, aby mu się wyprawa powiodła; przyjechał po  
nowe zastępy.

Powinnaś towarzyszyć siostrzenicy, Waleryo; masz córkę, która  
jeszcze twej

opieki potrzebuje; pamiętaj o tem, że Aktea nie jest jeszcze  
przygotowaną do

życia.

Walerya opuściła głowę pokornie, lecz już się nie opierała; słowa  
starego

przyjaciela musiały trafić jej przekonania: Wskazała Decyuszowi  
krzesło, a gdy

zajął miejsce, poczęła go pytać, czy nie wie, kiedy Marcellus powróci.

Decyusz,

dążąc tutaj, spotkał Scypiona i rozmawiał z nim, miał więc świeże  
wiadomości o

synu i bracie Waleryi. Obaj byli zdrowi, obaj przysyłali pozdrowienia  
siostrze i  
matce,

tylko Łucya tego pozdrowienia ciotce nie powtórzyła; Wicyniusz  
zyskał już łaski  
cezara i mianowany został centuryonem.  
Wieści te dźwignęły nieco Waleryę na duchu, przecież nie odegnały  
od niej  
przykrej myśli, że musi być obecną na krwawym widowisku.  
Zbliżyło się wreszcie fatalne dla niej popołudnie; cyrk przepelniony  
był;  
senatorowie owinięci w białe togi, błyszczące od klejnotów; ich żony i  
córki  
zapelniały niżej znajdujące się ławy; wyżej pospólstwo się cisnęło.  
Cezar z  
całym dworem ukazał się w wyłoczonej swojej łoży, obok której  
znajdowała się  
druga, zajęta dziś przez Łucyę i Waleryę. Milcząca, ze smutkiem na  
twarzy,  
siedziała Walerya obok Łucyi, która ciekawym wzrokiem obiegała  
stroje dziewic  
rzymskich, zwracając je ku łoży cesarskiej, gdzie dwóch znajomych  
spozstrzegła:  
Scypiona i Kajusa. Scypion miał minę znudzonego: ziewał i obojętnie  
wodził  
wzrokiem po zebranych w cyrku, Kajus co chwila spoglądał ku  
sąsiedniej łoży i  
zapytywał Łucyę oczyma:  
— Nie boisz się?  
— Nic a nic.  
Plebs począł się niecierpliwić i niecierpliwość tupaniem nóg objawił.  
Nareszcie  
wystąpił jeden ze straży i jął opowiadać o porządku przedstawienia:  
Najprzód

miały wystąpić do walki hyena i pantera, potem dwóch gladyatorów, nakoniec chrześcijanie, lwy i tygrysy. Lecz porządek ten tłumowi się nie podobał.

— Chrześcijan! chrześcijan nam pokażcie! — wołać poczęły tłumy. Cyrk trząśł się od tych krzyków. Walerya zbladła, jakgdyby blizką była omdlenia, wyraz wielkiego bólu i smutku wystąpił na jej twarz, lecz nikt w tej chwili nie patrzył na nią, więc nikt nie zgadywał, co w sercu jej się dzieje; wszystkich oczy zwrócone były na łożę cesarską. Trajan zdawał się wahać, czy zadość uczynić tłumowi, ale wzburzenie wzrastało, nie chciał drażnić tych mas, więc skinął i zrozumiano jego skinienie: na arenę wpuszczono tygrysa i panterę. Wyrwane z łożysk, głodne zwierzęta rykiem napępiały cyrk, zdawały się wołać: — Krwi, krwi chcemy! Tłum, który na chwilę się uciszył, począł wrzeszczeć znowu: — Chrześcijan! chrześcijan! Cezar powtórnie skinął i okrutne pospólstwo się uciszyło. Skrzypnęły drzwi i naraz szmer, jakgdyby współczucia, obiegł arenę, nawet pospólstwo od krzyków radości się powstrzymało. Dwie młode dziewice ukazały się publiczności; lat piętnaście one. zaledwie liczyć mogły; rozpuszczone włosy płaszczem złocistym je zasłaniały, w oczach ich błękitnych mimo rozlegającego się ryku głodnych zwierząt, trwogi nie było, lecz cicha pogoda, na ustach uśmiech; szły, trzymając się za ręce, i śpiewały jakiś smętny, uroczysty hymn. Słów hymnu nikt nie

rozumiał. Dotarłszy do środka areny, ukłękły i podniósłszy w górę spojrzenia,  
modlić się pojęły.

— W twoje ręce, Panie, dusze nasze oddajemy — mówiły jednocześnie, bądź wola  
Twoja, Panie.

Poczem powstały i rzuciły się sobie w objęcia, długi i serdeczny uścisk je  
złączył.

— Tam się spotkamy — rzekła jedna, podnosząc palec w górę.

— Wierzę — odparła druga.

Widzowie zdawali się być wzruszeni; cisza wielka panowała w około, Walerya oraz

jeszcze kilka innych kobiet — zasłoniło dłońmi twarze... czy płakały, tego nikt

nie wiedział; nawet zwierzęta zdawały się być zaniepokojone: tygrys, mrużąc,

okrażał te dwie skazane tak młodo na śmierć, zdawał się namyślać, czy im krzywdę

zrobić; pantera ognistymi spojrzeniami po tłumach wodziła, jakby wolała stamtąd

ofiara zdobyć.. Lecz z galeryi i łóż nikt ku niej nie schodził, a głód domagał

się swoich praw; więc nagle skoczyła ku siostrom jeszcze splecionym uściskiem i

drapieżne swe łapy o ramię jednej oparła; po białej szyi dziewczyny potoczył się

sznur koralu; poczuł krew tygrys i rzucił się ku drugiej ofierze; tłum począł

klaskać i wrzaskiem podbudzać zwierzęta. Sekunda nie upłynęła, a dwa ostatnie

westchnienia uleciały z ust skazanych. Walerya spojrzała na arenę i bladość

trupia powlokła jej twarz, zdawała się być bliską omdlenia. Łucya zlekła się,

aby jej cezar nie posądził o sprzyjanie chrześcijanom, więc poczęła  
trzeźwić  
ciotkę, szepcząc jej do ucha:  
— Zapanuj nad sobą, patrz na nas.

Silą woli Walerya pokonała wzruszenie, wyprostowała wspaniałą swą  
postać, lecz  
twarz jej podobną teraz była do oblicza posągu kamiennego, ból serca  
na niej  
zastygł.

Tymczasem pospólstwo się uciszyło, podarte szczątki męczennic  
usunęli pilnujący  
porządku w cyrku, a czekający na nie chrześcijanie zabrali je, by  
pochować ze  
czcią. Na arenę wystąpił teraz starzec siwy, jak gołąb.

— Nie wiesz, ciotko, kto to? — zapytała Łucya — ma w swej  
postawie ten starzec  
cos' z królewskiej godności.

— To biskup chrześcijan z Antyochii, imię jego Ignacy — wyręczył w  
odpowiedzi

Waleryę Kajus, który wszedł właśnie do loży, by ukłon złożyć przed  
córką

Marcelusa i przekonać się zarazem, czy odważnie patrzy na  
umierających w mękach.

— Trajan — opowiadał Kajus — gdy przez Antyochię przechodził,  
chcąc zjednać

sobie łaskę bogów dla swych legionów, polecił, aby wszyscy  
mieszkańcy miasta

oddali pokłon Jowiszowi, którego posąg postawić kazał na jednym z  
placów. Ten

człowiek był cesarowi nieposłusznym, więc odesłał go do Rzymu w  
kajdanach.

Dziwni to ludzie ci chrześcijanie, podobno ów biskup pisał list z  
więzienia do

swoich współwyznawców, aby mu modłami nie przeszkadzali do  
śmierci męczeńskiej,



bo jej pragnie i za szczęście, za łaskę Boga uważa.

Wyraz twarzy stojącego w pośrodku areny świadczył, iż słowa, jakie pisał do braci swoich, szczerze były. Promieniał on radością nieziemską.

a obok tej radości świeciła z ócz jego wielka dobroć, w której największy wróg mógł wyczytać dla siebie przebaczenie; skazany zdawał się mówić do przypatrujących się mu ciekawie tłumów: "żałuję was, "

Walerya mimo to drżała, jak listek osiny, kolana jej zginały się, siłą woli wstrzymywała się, aby nie uderzyć czołem, przed tym białym starcem, aby nie zawołać: "Pobłogosław mi, ojcze. " Otrząsnąwszy się z omdlenia, patrzyła z zachwytem w piękne oblicze męża świętego, aż on spostrzegł ją w końcu i widocznie wyczytał uczucia jej serca, gdyż w tę stronę ramiona wyciągnął, coś szeptać się zdawał, modlić, błogosławić. Ona stów nie słyszała, lecz była pewną, iż mówi: "Panie, bądź przy niej zawsze i wszędzie, wzmocnij ją, czuwaj nad nią. "

I ogarnął ją dziwny pokój i drzeć przestała.

Przeciwnych uczuć doznała w tej samej chwili Łucya; jakiś strach nieznany zbudził się w jej duszy; pełen słodczy i powagi wzrok męczennika mieszał ją, czuła w nim siłę, której się bała, bo nie pojmowała, skąd czerpie ten nędzarz, według niej, ową powagę, ową moc, które pozwalają mu tak obojętnie czekać nierównej walki.

Naraz straszliwy ryk wstrząsnął ścianami cyrku, na arenę wypadły dwa lwy, z paszczami rozwartemi i stanąwszy naprzeciw skazanego, wzrokiem się z nim zmierzyły i starzec zwyciężył: spokój jego poskromił ich gniew, głosy królów zwierząt umilkły. Trwoga wzmogła się w sercu Łucyi.

— Co to za siła, którą on pokonywa, co to za broń, którą on walczy?  
— pytała siebie i odwracała spojrzenia od Kajusa, by nie spostrzegł uczuć, jakie budzą się w jej duszy. Skazany nie spuszczał wzroku z rozbrojonego nieprzyjaciela, chciał pokazać poganom swoją moc, potęgę, swej wiary i zadziwił wszystkich; pospólstwo i możni patrzyli w zdumieniu na pokonane zwierzęta; jeszcze chwila, a tłum wołać pocznie:  
— Łaski! łaski dla skazanego, dla pogromcy lwów. Lecz tej chwili nie doczekał już biskup Antyochii; on pragnął umrzeć, dać świadectwo nowe, że chrześcijanin oddaje z ochotą życie za naukę Chrystusa, bo w niej szczęście, zbawienie ludzkości widzi. Więc podniósł wzrok w górę.  
— Ojcze, ducha mego przyjmij! — rzekł. Lwy zaryczały w odpowiedzi, a mszcząc się za upokorzenie doznane, skoczyły zwycięzcy na pierś i kły swe ostre zagłębiły w jego ciele; Walerya omdlała znowu, teraz nie słyszała już nawet wezwań Łucyi; mimo obawy posądzeń trzeba było cyrk opuścić; Kajus sprowadził niewolników, którzy wynieśli nieprzytomną z łoży.

Podczas nocy, która nastąpiła po tem przedstawieniu, mieszkańcy Rzymu widzieli dążący ulicami miasta orszak ludzi. Kto oni byli? co nieśli? nikt nie wiedział, lecz nazajutrz szeptano po mieście, iż chrześcijanie wywieźli z Rzymu szczątki swego biskupa, by je uroczyście w Antyochii pochować.

Walerya obudziła się ciężko chora, za słabe miała siły na tak mocne wrażenia, jakie wczoraj przeżyła, przywołała Gerę do łóża i rzekła do niej: — Zdaje mi się, że ostatnia chwila zbliża się dla mnie, powierzam twej pieczy Akteę. Zbyt młodą była, abym mogła jej odkryć tajemnicę naszej wiary, ty to uczynisz. Chcę, żeby była chrześcijanką; przyrzeknij mi, że utorujesz jej drogę, do nawrócenia.

— Utoruję z łatwością — odparła Gera — w sercu tego dziecka tleją wszystkie cnoty chrześcijańskie, umieraj spokojna o córkę.

Nazajutrz rozległa się wieść, że siostra Marcelusa Petroniusza zmarła nagle.

Wśród koła znajomych i przyjaciół oczekiwano wspaniałego pogrzebu, a potem okazalszej jeszcze uczty żałobnej. Lucya wybrała natychmiast z pomiędzy matron rzymskich niejaką Sabinę, wdowę bezdzietną, żeby jej zastąpiła miejsce ciotki.

Była to kobieta światowa, niczem nie podobna do cnotliwej i poważnej Waleryi.

Sabina z radością przyjęła propozycję, którą w istocie sama nasunęła córce Marcelusa. tłumacząc jej, iż za młodą jest, aby mogła się obejść bez opieki.

Światowej niewieście uśmiechało się życie w domu możnej patrycyuszki. Zanim jeszcze wyniesiono zwłoki zmarłej z domu Petroniusza, już sprowadziła się do niego i rozgościła w paru pokojach zajmowanych przez nieboszczkę. Nazajutrz miał się odbyć pogrzeb, po którym Łucya i Sabina miały zaprosić życzliwych przyjaciół na wieczerzę. Łucya kazała niewolnicom przygotować

dla siebie wspaniałą, żałobną szatę. W dniu owej smutnej uroczystości zbudziła się zaniepokojona: usłyszała jakiś zgiełk, jakieś jęki, płynące z pokoju niewolnic; klasnęła kilkakrotnie w dłonie, przywołując niewolnice, Jęcz żadna się nie zjawiała, a gdy niecierpliwić się zaczęła i chciała już wstawać, ukazała się na progu sypialni Sabina.  
— Czy wiesz, co się stało? — spytała. — Cóż takiego?  
— Chrześcijanie nocą wykradli ciało Waleryi.  
— Chrześcijanie? — zapytała Łucya ze zdziwieniem pomieszaniem ze strachem — skąd wiesz o tem?  
— Któżby inny to uczynił? — rzekła Sabina., siadając obok łóżka Łucyi. — Walerya była zapewne chrześcijanką. Córka chciała, aby matka została pochowaną wedle ich obrzędów zabobonnych i nocą ciało jej współwyznawcom wydała. Nie bez przyczyny więc nie lubiłaś obydwóch.  
— Ach, — krzyknęła Łucya. — Jasnowidzenie zstąpiło na jej umysł. Wiele, wiele zagadek rozświeciło się w nim nagle. Złośliwy wyraz błysnął w jej oczach.

— I Aktea jest chrześcijanką... — rzekła półgłosem — dobrze o tem wiedzieć.

W tej chwili wzrok jej był podobnym do wzroku owej pantery, która, głodna krwi, rzuciła się w cyrku na niewinne dziewczę. Łucya klasnęła jeszcze raz w ręce.

Weszła blada i nieśmiała Zara.

— Czego tak hałasujecie? — zapytała jej młoda pani surowo.

Niewolnica uklękła.

— Nie gniewaj się, pani, na nas — rzekła, chyląc głowę — stało się nieszczęście

dzisiejszej nocy, ale nie myśmy temu winne, bo my nad tobą tylko czuwamy, a nie

poleciałś nam strzedz, o, piękna, ciała Waleryi.

— Czy Aktea spała dzisiejszej nocy? — spytała surowo Łucya.

— Spała snem kamiennym — odparła Zara. Łucya zamieniła z Sabina porozumiewające spojrzenie.

— A teraz co robi? — odezwała się Sabina.

— Szłocha, pyta każdego po kolei, czy nie wie, co się stało z matką.

— Gdzie jest Gera?

— Ona zwykle o świcie z domu wychodzi za kupnem żywności, jeszcze nie

wróciła. Łucya skinęła na niewolnicę, by się oddaliła.

— Przynieś mi błękitne peplum — rzekła, poczem zwróciła się do Sabiny.

— Cóż ty na to?

— Mała jest chrześcijanką — rzekła Sabina — zna różne czary, uspiła ras

wszystkich, snem nieczułym na hałasy.

— Odpokutuje za to, syknęła Łucya.

Aktea z płaczem i szlochaniem powitała starą swoją piastunkę, gdy ta do domu

powróciła.

— Gero! — wykrzyknęła, tuląc się do niej — matkę mi ktoś zabrał,  
pomóż mi ją  
odnaleźć, o, pomóż, najmilsza!...

— Przestań płakać, a powiem ci, gdzie jest — szepnęła jej stara i  
pociągnęła ją  
do swej ciemnej i ciasnej komórki, w której sypiała.

Dziewczynka zapanowała nad żalem.

— Matka twoja, Akteo, była chrześcijanką — rzekła Gera głosem  
uroczystym —

chrześcijanie ciało jej zabrali, aby je pochować wedle swoich  
obzędów...

— Więc i ja chcę być chrześcijanką, poprowadź mnie do nich —  
rzekła z mocą  
dziewczynka.

— Wyrób sobie dwie cnoty, bez których chrześcijanką być nie można,  
a poprowadzę  
cię do nich — odparła Gera.

— Jakież to cnoty?

— Pokora, którą gardzisz i posłuszeństwo, do którego z trudnością się  
naginasz... Jeśli przez dzisiejszy cały dzień będziesz cichą, pokorną i  
posłuszną, jutro matkę zobaczysz.

Aktea osunęła się do nóg piastunki.

— Cichą będę i potulną, jak owca, — odparła — posłuszną, jak pies  
wierny,  
zobaczysz...

— Jeśli nadal te cnoty będziesz wypełniała, obznajmię cię z nauką,  
którą matka

twoja wyznawała i do Chrztu przygotuję — dodała stara piastunka.

Aktea poczęła okrywać pocałunkami jej ręce.

— Powiedz, rozkaż, co mam czynić — mówiła głosem wzruszonym

— wszystko spełnię,

aby matkę jeszcze raz zobaczyć, pożegnać... Łkanie przerwało jej  
mowę.

— Najprzód żądam, abyś nikomu na świecie nie powtórzyła tego, co ci mówiłam  
przed chwilą — rzekła piastunka uroczyście — powtóre, żebyś poszła  
teraz do  
pokoju matki i modliła się cicho do Boga chrześcijan: proś Go, aby  
cię nauczył  
pokory i czekaj, póki nie przyjdę po ciebie.  
Aktea udała się natychmiast do sypialni zmarłej i siadłszy przy oknie,  
podniosła  
wzrok w pogodne błękity: szukała tego nieznanego sobie Boga,  
którego matka jej  
czciła.  
— Uczyń mnie posłuszną i cichą, Panie! — szeptały jej usta.  
Wtem z hałasem odsunęła się ciężka kotara, kryjąca wejście, dzielące  
sypialnię  
Waleryi od sypialni Aktei i na progu ukazała się Łucya; żałobnych  
szat nie miała  
na sobie, lecz jaskrawe.  
— Masz ten pokój opuścić natychmiast — rzekła wyniośle —  
będziesz sypiała od  
dziś z niewolnicami; bądź mi wdzięczną, iż srożej cię nie karzę...  
Oczy Aktei zapaliły się gniewem obrażonej dumy.  
— Mogę dom twój opuścić nazawsze, lecz z niewolnicami sypiać nie  
będę — odparła  
hardo — nic nie przewiniłam, na karę nie zasługuję.  
To rzekłszy, do Gery podążyła, spotkały się w atrium.  
— Idę cię pożegnać — rzekła drżącym głosem — Łucya do rządu  
niewolnic mnie chce  
poniżyć, opuszczam jej dom.  
— Takeś długo w pokorze wytrwała? — ze smutkiem w głosie  
zapytała Gera.

— I na cóż się zda komu podobna pokora — odparła Aktea — co  
przyjdzie  
komukolwiek z tego, gdy wśród niewolnic zasiądę?

— Nie mów tak — rzekła stara — Bóg, którego czciła twoja matka, może właśnie tą drogą chce uczynić twoje serce cichem i uległym, może za dawną wyniosłość karę ci tę zsyła; powinnaś głowę uchylić i rzec: "wola Twoja, Panie, niechaj się stanie". Tak matka twoja codzień się modliła... My, nędzni i słabi, tajemnic Bożych przeniknąć nie potrafimy, lecz wierzyć winniśmy, że w mądrości swej Bóg nigdy się nie myli i że cokolwiek nam zsyła, dobrem jest naszym. Aktea pochyliła głowę i zwróciła się do pokoju niewolnic; ujrawszy ją wchodzącą, wszystkie powstały z szacunkiem, lecz ona odezwała się do nich łagodnie:

— Siadajcie, od dziś równą wam jestem, tak chce Łucya. — Rzekłszy to, wśród nich miejsce zajęła. — Co robicie w tej chwili? — dodała — dajcie mi jaką robotę, aby dzień mi się nie dłużył.

Lecz one ani miejsc swoich nie zajmowały, ani spieszyły z podaniem jej roboty, szeptały tylko pomiędzy sobą, zdawały się naradzać. Wtem weszła Gera.

Uczyńcie, o co was prosi Aktea — odezwała się tonem wzruszonym — niedola przy pracy lżejszą się staje.

Więc podały jej kosz ze zwiędłymi różami, których listki obrywały, aby zrobić z nich poduszkę dla rozkapryszonej, z każdym dniem więcej, swej

pani; Aktea im pomagała. Łucya zajrzała parę razy do izby niewolnic ze złośliwym zadowoleniem patrzyła na upokorzoną sierotę i oddalała się znowu, zawsze



podrażniona mocno. Spokój Aktei gniewał ją.  
— Wywołam w twych oczach łzy, nieznośna dziewczyno — rzekła raz do siebie,  
odchodząc i powróciła niebawem, stanęła przed dziewczynką, a wyciągnąwszy do niej nogę, którą w błocie naumyślnie zawałała, rzekła tonem rozkazującym:  
— Oczyszczyć mi obuwie.  
Na bladą twarz Aktei wybiegł rumieniec, oczy jej błysnęły i pociemniały, lecz bunt trwał tym razem niedługo nad sekundę. Wnet głowę zwiesiła i odparła spokojnie:  
— W tej chwili.  
Poczem przykleknąwszy, własnem peplum otarła nogi dumnej siostry. Łucya rozśmiała się.  
— Zwyciężyłam cię — rzekła.  
Aktea wróciła zgnębiona do przerwanej roboty.  
— Wola twoja, Panie — szeptały jej usta, lecz serce się buntowało i cierpiało bardzo.  
Dzień począł nareszcie pochylać się ku zachodowi, Gera się nie zjawiała, do serca dziewczynki zakradał się niepokój. Coraz gorliwiej pracowała, by odegnać dręczące ją myśli. Nareszcie oskubała wszystkie róże.  
— Cóż teraz zrobić będziemy? — zapytała Aktea, lękając się bezczynności.

— Ty pójdziesz ze mną, mam czynić różne zakupy na ucztę żałobną, którą odłożono do jutra — rzekła Gera, która niespodzianie się tutaj zjawiała. I ująwszy dziewczynkę za rękę, pociągnęła ją za sobą. Wyszędłszy z mieszkania, minęły atrium, westibulum i skierowały się w ludne,

pełne zgiełku ulice Rzymu.

— Dokąd idziemy? — spytała Aktea, gdy dom Marcelusa znikł jej z oczu.

— Nie pytaj, tylko przyspieszaj, kroku — odparła stara.

Szły więc dalej w milczeniu, a szybko bardzo; dostały się nareszcie na tak zwaną

Nomentańską drogę. Nagle Aktea ujrzała wdali wzgórze piaszczyste, Gera ku nim

kroki zwróciła. Dotarły tam, gdy noc gwiazdzista otulała już ziemię.

Wszedłszy na jedno z takich wzgórz, Gera palec ku ziemi spuściwszy, rzekła:

— Tam wejdziemy.

W środku wzgórza widniał otwór.

— Jakże to uczynimy? — spytała przestraszona Aktea.

— Zejdziemy po wschodach, które prowadzą pod ziemię — odparła stara — ja wejdę

pierwsza, podam ci rękę i prowadzić cię będę.

Aktea się bała, lecz nie cofnęła się, podała piastunce rękę i poczęły schodzić

po prostopadłych wschodach. Po kilku chwilach Gera zatrzymała się.

— Jesteśmy u celu — rzekła — wkrótce matkę ujrzysz.

W piersiach dziewczęcia serce poczęło bić mocno. Światelko jakieś mignęło w

oddali. To ktoś piał się ku nim, jakaś postać niewieścia, w czarnej szacie,

która tlejący kaganek trzymała w ręku.

— W imię Chrystusa, pozdrawiam cię, Gero — rzekła owa postać niewieścia.

— A ja ciebie, Salomeo — odparła stara — oto córka Waleryi, przyszła

uczestniczyć w pogrzebie — dodała, wzrokiem towarzyszkę wskazawszy.

Salomea Akteę w twarz pocałowała.

— Witam cię, siostrze, imieniem Chrystusa, którego czcimy tutaj wszyscy — dodała

— jakież twoje imię?

— Aktea — zabrzmiała nieśmiało odpowiedź.

— Chodźcież za mną... już z ciałem do grobu idą bracia i siostry —  
rzekła

Salomea i postąpiła przodem, a one skierowały się za światłem, które  
niosła.

Spuściwszy się ze wschodów, weszły w długi, wązki kurytarz, od  
którego w różnym

kierunku boczne się rozbiegały. Idąc, Aktea uważała, że w ścianach  
kurytarza,

który mijają, są umieszczone tablice kamienne z napisami. Ciekawą  
była wielce,

co one znaczą i co wyrażają, lecz ani pytać, ani zatrzymać się i  
przeczytać nie

śmiała... Wtem słuch jej uderzył śpiew cichy, pełen smutku i powagi.

— Zbliżają się — szepnęła Salomea i zatrzymała się.

Zdaleka błysnęło moc światełek, a gdy Aktea lepiej się wpatrzyła,  
ujrzała orszak

złożony z niewiast

i mężczyzn, których prowadził starzec w białej szacie z siwym  
włosem; w ręku

trzymał on krzyż niewielki, który do piersi przyciskał; postępujący za  
nim męże

i niewiasty, wszyscy czarno byli odziani, wszyscy w rękach trzymali  
gorejące

świece woskowe. Na końcu orszaku kilku ludzi dźwigało jakiś ciężar,  
białym

płótnem zasłonięty. Aktea drgnęła. Orszak, postąpiwszy jeszcze kilka  
kroków,

ucichł i zatrzymał się w pośrodku kurytarza; mężczyźni, niosący  
ciężar złożyli

go na ziemi. Wówczas Salomea skinęła na Gerę i jej towarzyszkę,  
postąpiły ku

owemu orszakowi, a gdy doń się zbliżyły, Aktea ujrzała w ścianie,  
przy której

stanęli wszyscy, długi otwór, pod nim zaś tablicę kamienną z napisem;  
chciała  
przeczytać wyrazy, lecz Gera jej przeszkodziła.  
— Pożegnaj matkę — rzekła i poprowadziła ją tam, gdzie spoczywał  
na ziemi  
niesiony przed chwilą ciężar. Z ust dziewczynki krzyk radości się  
wyrwał, z pod  
białego płótna wychyliła się spokojna twarz Waleryi. Aktea rzuciła się  
z  
pieszczotą, lecz zimne usta matki przypomniały jej bolesną  
rzeczywistość, głośne  
szlochanie wyrwało się z piersi dziecka; wszyscy zdawali się być  
wzruszeni, nikt  
wszakże nie zbliżał się do małej. Chwil kilka płakała swobodnie  
Aktea, nareszcie  
przystąpiła do niej Gera i dłoń swą na ramieniu jej położyła.  
— Ulżyłaś sercu, teraz uklęknij i powtórz za mną: "Bądź wola Twoja,  
Panie!"  
Aktea, walcząc ze łkaniem, spełniła tę radę. Wówczas w kurytarzu  
rozległ się na  
nowo hymn uroczysty, pełen smutku cichego; chrześcijanie śpie-

wali pożegnanie zmarłej, jednocześnie podjęli oni złożoną w trumnie  
Waleryę,  
nakryli ją wiekiem i wsunęli do otworu, znajdującego się w ścianie,  
inni zaś,  
wziąwszy stojącą pod otworem tablicę, zamknęli go. Aktea ujrzała na  
tablicy  
następujący napis: "Spoczywaj w Bogu, Waleryo, i módl się za nami.  
" Teraz  
zrozumiała, że owe tablice, jakie w ścianach kurytarza widziała, kryły  
groby  
chrześcijan, usunęła się na kolana i szeptać poczęła: "Matko wróć i  
zabierz mnie  
z sobą... " Siwy starzec przystąpił do niej, rozpostarł nad jej głową  
drżące

ręce.

— Panie, wesprzyj tę słabą jeszcze dziewczeczkę, daj siłę, by potrafiła znieść

cierpienia moralne z pogodnym czołem, aby stała się mężną, jak była jej matka...

Wracaj do domu, do pracy — dodał — a gdy staniesz się godną poznać naukę, którą

twa matka wyznawała, wówczas piastunka przyprowadzi cię do nas.

Gera ujęła dziewczynkę za rękę i na wpół przytomną wyprowadziła z katakumb.

### III.

Niewolnice Łucyi zajęte były pracą pilną. Córka Marcelusa zaproszoną została na

wyścigi, które odbyć się miały w domu Kajusa, chciała być najwspanialej ze

wszystkich ubraną, więc kazała złotą swoją tunikę gwiazdami rubinowemi wyszyć.

Już trzeci dzień niewolnice siedzą nad tą robotą. Dzisiaj ma być skończoną, bo

jutro rano przybierze się w nią Łucya; niespokojnie spoglądają na stojącą

naprzeciw nich klepsydrę, która wskazuje ubiegające godziny; pomaga im w pracy

Aktea; pół roku upłynęło dopiero od śmierci jej matki, lecz dziecko przez ten

krótki przeciąg czasu w dorosłą dziewicę się przeistoczyło... tyle powagi na jej

czole, tyle rozsądku w oczach... I w ubraniu jej zmiana wielka; suknie, jaką ma

na sobie, z prostej wełny, na nogach trzewiki z grubej skóry; pracuje razem ze

służbą, sypia w pokoju niewolnic, jada z nimi razem; mimo to na jej czole cichy

spokój jaśnieje, a na ustach uśmiech wesela i młodości... Jak gdyby

od niemowlęcia niewolnicą była, nie dziwi się swemu losowi, nie ubolewa nad sobą, z towarzyszkami rozmawia poufale, jak gdyby wśród nich wzrosła. O! nie od razu stała się ona wszakże taką: coś wiedzą o tem niewolnice i nieraz mówią o dawnej Aktei. To stara Gera tak wpłynęła na dumne, harde niegdyś dziewczę: coś jej kładła ciągle w ucho, gdzieś prowadziła ze sobą i odmieniła w końcu, osuszyła jej łzy, a smutek z oczu wygnała. Teraz Aktea spełnia zawsze wolę Łucyi bez buntu, ubiera ją, myje podłogę w jej pokoju, kąpiel szykuje, wszystko z pogodną twarzą; gdy Łucya szydzi z niej, nie płacze; przy pracy śpiewa nawet często.

— Zna chyba jakieś moce tajemnicze, które smutki odganiają od jej duszy — myśli z gniewem Łucya, zazdroszcząc jasnej jej twarzy, a przez to samo pięknej.

— Ludzie mówią, że stara Gera jest chrześcijanką, wyznawcy tej sekty znają różne czary — szepcze jej Sabina i podnieca gniew w sercu Łucyi, która zamysła się zawsze posepnie po tych słowach, a wzrok jej płonie ogniem złowrogim.

Ranka owego, w którym córka Marcelusa wybierała się na wyścigi, wbiegła do

sypialni swej pani zmieszana niewolnica Zara i rzekła:

— Piękny Scypion pragnie pomówić z tobą, pani; ma jakieś ważne słowa do

powtórzenia. Łucya dopiero co podniosła się z łoża, nie odprawiła wszakże zbyt

wczesnego gościa, tylko kazała niewolnicy spać jak najprędzej czarną, rogo-

wą szpilką swe włosy i włożyła jedną z piękniejszych tunik.

— Gdzie czeka Scypion? — zapytała, kończąc toaletę.

— W atrium — odparła Zara. Łucya tam podążyła.

— Jakież szczęśliwy wypadek sprowadził cię, Scypionie, do naszego domu? — rzekła,

miłym uśmiechem gościa witając.

Lecz on uśmiechem nie odpowiedział.

— Niebezpieczeństwo wam grozi, — wzruszonym przemówił głosem.

Twarz Łucyi jeszcze miłszy wyraz przybrała.

— Więc losy córki Marcelusa cię obchodzą? — spytała z widocznym zadowoleniem.

— Tu nie idzie tyle o ciebie, pani, ile o twoją siostrę — odparł Scypion.

— O Akteę — z naciskiem wymówiła Łucya, a z oczu jej gniew strzelił.

— Posądzoną jest o sprzyjanie chrześcijanom — mówił dalej Scypion, nie zgadując,

iż obraził w tej chwili możną patrycyuszkę na siebie — przyszedłem was ustrzedz,

gdyż nowe aresztowania nakazane są w mieście, poszukują Nazareńczyków.

— Przywołam ją tutaj, powtórz jej sam, Scypionie, to, coś mnie powiedział —

rzekła Łucya i oddaliła się.

Scypion począł się przechadzać niespokojnym krokiem w około wodotrysku. Znać

było po nim wielkie wzruszenie i wielką niecierpliwość; co chwila spoglądał ku

dzwiom sieni kamiennego budynku,

który zawierał mieszkanie Marcelusa. Nareszcie ukazała się Łucya,  
wiodąc z  
tryumfem Akteę za sobą w nędznej szacie niewolnicy. Cieszyła się  
zawczasu  
zdziwieniem i rozczarowaniem, jakie wyczyta w wzroku młodzieńca,  
lecz zawiodła  
się. Scypion sukni nie widział, tylko te dobre, słodkie oczy, które go  
niegdyś  
zgromiły tak surowo za brak serca. Gniew, który uczuł wówczas do  
dziewczynki,  
zamienił się powoli w jego sercu w szacunek dla niej; ujrawszy  
wchodzącą,  
złożył najprzód ukłon pełen pokory, potem przystąpił do dziewczęcia.  
— Grozi ci, pani, niebezpieczeństwo — rzekł głosem wzruszonym —  
na liście  
oskarżonych o sprzyjanie chrześcijanom i branie udziału w ich  
zabobonnych  
obrzeźdach imię twoje jest wymienionem... Kto je podał, tego  
powiedzieć nie  
umiem, nie trwóż się jednak zbytecznie: łagodny Trajan kazał ogłosić  
po Rzymie,  
że ktokolwiek z oskarżonych przyjdzie do pałacu jego i powie:  
"Jestem  
niesłusznie posądzonym, czczę Jowisza, oraz inne bogi rzymskie",  
tego nazwisko  
wytrze własną ręką z listy oskarżonych.  
Aktea słuchała zdziwiona, że ten, z którym tak się nieprzyjaźnie  
obeszła,  
okazuje jej tyle życzliwości; gdy Scypion skończył, podniosła na  
niego pogodnie  
oczy i rzekła:  
— Czy trwoga przegląda z mych źrenic, że mnie uspokajasz, trybunie  
cezara?  
Zaprawdę w sercu nie czuję jej wcale...  
Twarz młodego Rzymiana rozjaśniła się wyrazem szczęścia.



— O, ja wiedziałem, że to oskarżenie niesłuszne — wykrzyknął  
niemal. — Chodź,  
piękna Akteo, ze mną do pałacu cezara, a imię twoje w naszej  
obecności wymazanem  
zostanie.

To rzekłszy, wyciągnął rękę do dziewczęcia. Łucya z gniewem  
zagryzła wargi,  
chciała już rzec: "Ona jest chrześcijanką, " gdy z wielkim jej  
zdziwieniem Aktea  
cofnęła się przed dłonią ku niej wyciągniętą.

— Nie mogę iść z tobą, Scypionie — rzekła uroczystym głosem —  
nie mogę...

On jej nie zrozumiał.

— Więc idź, z kim chcesz — odparł — lecz spiesz się, aby wyrok na  
ciebie nie  
zapadł.

— Nie mogę iść z nikim, bo jestem chrześcijanką — rzekła drżącym  
głosem Aktea.

Z ust Scypiona wyrwał się okrzyk zdziwienia i smutku, poczem ukrył  
twarz w  
dłoniach i stał tak chwilę bezradny i zgnębiony, sam nie wiedząc co  
czynić;

Łucya zdawała się cieszyć jego bólem, uśmiech tryumfu na usta jej  
wybiegł. Lecz

krótki był to tryumf, gdyż naraz młody trybun odsłonił twarz.

— Bądź, czem chcesz, Akteo — rzekł głosem prośby — szacunek  
mój nie zmieni się

dla ciebie nigdy, boś godna szacunku... Wyznawaj wiarę

Nazareńczyka, jeśli ją za

mądrą i dobrą uważasz, lecz idź do cezara i głośno zaprzyj się tego...

Siostrzenicy Petroniusza uwierzy Trajan... Jesteś młodą, piękną i  
dobrą, szkoda

cię śmierci oddawać.

— Nie dziwię się, że mnie namawiasz do zaparcia się mej wiary, bo  
jej nie znasz,

Scypionie —

odparła Aktea łagodnie. — Poganin lęka się śmierci, my, chrześcijanie,  
wierzymy,  
iż otwiera nam ona podwoje do życia nieśmiertelnego i wiekuistego  
szczęścia,  
jeśli na to szczęście życiem uczciwym zasłużymy sobie... O, ja nie  
lękam się  
tego, co mnie po za grobem czeka, bo wedle Bożej woli żyć staram  
się... Wolę  
umrzeć, niż skłamać, bo kłamstwo jest grzechem.  
— I nie żal' ci będzie młodości, uciech, jakie ta ziemia daje?... —  
Spytał  
Scypion, patrząc na dziewczę ze zdziwieniem.  
— Niczego — odparła stanowczo — umrę z ochotą za wiarę, która  
dźwignie ludzi z  
poniżenia i występków; krew moja nawróci innych; nie lękam się  
śmierci, bo ona  
otworzy mi drogę do szczęścia, a za mną pociągnie wielu na tę  
drogę...  
W tej chwili była tak piękną, iż Scypion miał ochotę zgiąć przed nią  
kolana i  
powiedzieć:  
— Odsłoń mi tajemnice twojej wiary, a pójdę z tobą na śmierć, lecz nie  
uczynił  
tego, tylko położywszy rękę na sercu, rzekł:  
— Przysięgam, że cię obronię od śmierci.  
Poczem wybiegł z atrium i skierował się wprost do pałacu cezara.  
Trajan siedział  
w swoim ogrodzie, gdzie lubił słuchać śpiewu ptasząt. Scypion  
zbudził go ze  
słodkich i dobrych myśli. Cichy, pogodny ranek rzucił w serce cezara  
dobre  
uczucia; myślał o tem, że miło jest uszczęśliwiać i że chciałby uczynić  
coś  
jeszcze w życiu, coby przy-

czyniło się do polepszenia doli jego poddanych. Błada twarz młodego trybuna

przeraziła go.

— Co tobie? — zapytał — czy klęska jaka dotknęła Rzym?

Scypion zgiął kolana przed swym panem.

— Klnę się na Jowisza, że wśród imion na liście oskarżonych, umieszczono imię

dziewicy niewinnej, jak lilia — rzekł głosem wzruszonym.

— Któż ona? — zapytał Trajan poruszony tym widocznie.

— Aktea, siostrzenica Marcelusa Petroniusza, siostra rodzona centuryona

Wicyniusza — odparł Scypion.

Trajan dobył szybko z za sukni tabliczkę woskową, w srebrną ramę oprawną i

przebiegł wyryte na niej imiona.

— Więc to ona — rzekł, zatrzymawszy wzrok na jednym z nazwisk

— w istocie trudno

uwierzyć, aby winną być mogła. — Rzekłszy to, rylcem spokojnie napisane imię

wygładził.

Scypion podniósł się z twarzą jasną.

— Niedarmo cały Rzym czci i kocha Trajana — przemówił, chyląc głowę — niechaj

Jowisz dozwoli ci, panie, setki lat panować nad nami.

To rzekłszy, oddalił się, spieszo mu było powrócić do domu

Marcelusa i

podzielić się dobrą wieścią. Biegł raczej, niż szedł, lecz gdy wpadł na Forum,

któs chwycił go za ramię. Młodzieniec obejrzał się i czoło nachmurzył.

— Czego chcesz, Kajusie? — zapytał — spieszy mi się bardzo.

— Przyrzekłem Łucyi, że cię zaproszę na wyścigi, które odbyć się dziś mają u nas

— odparł Kajus — przybądź w samo południe.

— Do Łucyi spieszę właśnie — rzeki Scypion — puść mnie.

Lecz Kajus nie zdejmował dłoni z jego ramienia.

— Czy wiesz, kto na przyszłych igrzyskach jako ofiara na pożarcie tygrysa

wystąpi? — zapytał.

— Czytał mi Trajan listę — odparł Scypion.

— Więc Aktei imię usłyszeć musiałeś?

— Tego imienia na liście niema.

— Źle chyba słuchałeś...

— Jeśli było, to go już niema.

— Musi być, wiem nawet, kto je wpisał; czy znasz Sabine, śmiała kobieta, podobno

dotarła do samego cezara.

— Opiekunka Łucyi?

— Tak jest!

— Nikczemna! Puść mnie, ostrzeżę córkę Marcelusa, niechaj wie, kogo ma w swym domu.

Kajus rozśmiał się głośno.

— Nie trudź nóg, na nic się nie zda ostrzeżenie — rzekł z ironią — pupilka

niezawodnie nie lepsza od opiekunki.

— Puść, na Jowisza! — rzekł Scypion.

Kajus opuścił dłoń. a gdy Scypion dalej pobiegł, szepnął z cicha, goniąc go

posepnym wzrokiem:

— Trzeba jednakże sprawdzić, czy imię Aktei wykreślono z listy skazanych.

Poczem z wolna do domu podążył. Tymczasem zmęczony pośpiechem Scypion, stanął

przed domem Petroniusza; złocisty rydwan czekał tam właśnie, a dwa białe rumaki

niecierpliwie biły ziemię kopytami; zaczerpnąwszy powietrza, zbliżył się Scypion

do furty, gdy nagle ukazała się w niej świecąca od rubinów i złota Łucya, oraz

wstrętnie wymalowana i śmiesznie wystrojona Sabina.

— Przynoszę dobrą wieść dla Aktei — rzekł młodzieniec — sam chciałbym jej

powtórzyć radosne słowa, czy możesz mi, Łucyo, wskazać, gdzie mam jej szukać?

— Nie ma jej obecnie w domu — odparła Łucya — bądź u senatora Fabiusa na

wyścigach, Scypionie, tam mi powiesz, co jej mam powtórzyć; jeśli będziesz,

otoczę opieką Akteę i żadna zła przygoda jej nie spotka.

— Przyjaciele Aktei czuwają nad nią — odparł Scypion — sam właśnie chcę jej

powiedzieć o tem...Łucya rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Czyń, jak chcesz — rzekła wyniośle, a gdy wskoczyła na rydwan, dodała:

— Co usunęli przyjaciele, to powrócić mogą wrogowie.

Lecz słowa te turkot kół zagłuszył. Scypion, uspokojony, siadł pod cieniem

pomarańcz, rosnących przy posągu Jowisza, i postanowił czekać na Akteę.

Dziedziniec opustoszał, cisza zaległa wszędy, szmer tylko wody spadającej do

basenu słyseć się dawał. Ta monotonna muzyka, ta pustka, ten upał obezwładniły

młodzieńca: położył głowę na murawie

i usnął. Mrok począł zapadać, on jeszcze spał i nie widział, jak z ogrodu

wysunęły się na dziedziniec z nim połączony dwie postaci, osłonięte szarymi

płaszczami, jak przesuwając się koło niego, jedna z nich przystanąła i szepnęła

głosem przestraszonym: "To Scypion!" druga skinęła na nią i poszły dalej.

Coś zbudziło Scypiona wtedy właśnie, lecz co, sam nie wiedział. Miał sen dziwny:

widział boginkę prześliczną, białą, jak płatek śniegu, z oczyma niby dwa

szafiry. Boginka ta przystąpiła do niego i rzekła: " Pójdź za mną, a szczęście

wiekuiste stanie się twym udziałem. "

On zerwał się z kamiennej ławki, by pójść za nią i przekonał się, że śnił tylko.

Wtem Aktea przyszła mu na myśl.

— Może wróciła? — rzekł sam do siebie.

I posunął się ku domowi Marcelusa. Wszedł na taras, gdzie dwóch niewolników u drzwi drzemało.

— Chcę mówić z Akteą, siostrzenicą Petroniusza — rzekł, budząc ich.

Oni spojrzeli nań zaspanemi oczyma; musiał powtórzyć rozkaz po raz drugi. Wtedy

jeden odparł, iż pójdzie jej przywołać i poszedł. Ucieszyła odpowiedź Scypiona,

siadł na jednym z krzeseł, stojącym pod wyniosłą palmą i czekał znowu

cierpliwie; kwadrans upłynął, zanim niewolnik powrócił, lecz zamiast Aktei Zarę

przyprowadził.

— Woli twojej, panie, zadość się nie stanie — rzekła niewolnica — Aktea przed

kilku minutami wyszła na ulicę.

— A w południe, czy była w domu? — zapytał Scypion.

— Cały ranek i południe nie wychodziła dzisiaj, gdyż była zajęta — odparła Zara

— pomagała nam wyszywać suknię Łucyi i sprzątać w jej sypialni. Scypion zasepił się.

— Gdy powróci, powiesz, iż był u niej przyjaciel jej dobry z radosną nowiną, że

jutro z brzaskiem dnia zjawi się znowu tutaj, by równo z jutrzeńką wlać w jej

serce otuchę.

Podszedł powolnym krokiem.

IV.

Na tak zwanem Zatybrzu, daleko za pięknymi pałacami Rzymu,  
wznosiło się kilka  
domków, murem otoczonych; były to mieszkania ludzi starych,  
potrzebujących  
cichego spoczynku, których gwar Rzymu męczył. To też cisza  
panowała na Zatybrzu,  
rzadko można było tam spotkać przechodnia, rzadziej jeszcze  
przejeżdżającego.

Domy miały z tyłu ogrody, w których właściciele ich chłodu i spaceru  
używali,

kurzawy miejskiej, jak zarazy unikając... Wśród innych odznaczał się  
kamienny

dom Decyusza, krewnego Aktei; stary wojak, w ciszy tutaj panującej,  
zbudował

sobie ustronną siedzibę i czekał w niej spokojnie śmierci; nie  
próżnował

jednakże, przeciwnie, prowadził czynne bardzo życie.

Mrok ogarniał ziemię, na niebie ukazywały się gwiazdy, księżyc  
wytaczał powoli

swój srebrny rydwan i podziwiał w milczeniu ich piękność. Na  
Zatybrzu cicho i

pusto, w oknach, nielicznie rozrzuconych tu i owdzie domków,  
błyszczą światła.

lecz żaden hałas z nich nie dobiega. Wtem coś zaszeleściało, z zaułka  
wysunęły

się dwie postaci. Gdy weszły między murem otoczone domki, jedna  
zrzuciła z głowy

zasłonę i ukazała się z pod niej twarzyczka dziewczęcia o  
szafirowych, pełnych

wyrazu oczach.

— Ot, pilno ci było patrzeć w gwiazdy — odezwał się głos z pod drugiego płaszcza

— a czy ty wiesz, kto mieszka w tych domach?

— Bracia — odparło dziewczę — Decyusz zna ich wszystkich.

— Wolałabym wszakże, abyś się jeszcze za kryła twemi szaty, lepiej być nadto

ostrożną, niż za mało.

Dziewczynka usłuchała tej rady i szła dalej w milczeniu. Po chwili obie postaci

dotarły do domu Decyusza i tutaj zatrzymały się. Dziewczynka do drzwi zastukała.

Nie zaraz jej otworzono, słychać było wszakże kroki powolne, zbliżające się

ciężko ku drzwiom; nareszcie rozwarły się podwoje i starzec z białą głową stanął

na progu; w ręku trzymał świecznik.

— Aktea! Gera! — wykrzyknął Decyusz radośnie — cóż was sprowadza do mnie?

— Niebezpieczeństwo — odparła piastunka — Aktei imię pomieszczonem zostało na

liście oskarżonych o sprzyjanie chrześcijanom; przyprowadziłam ją tutaj, gdyż

nocą" spodziewamy się, że cesarz straż po nią przyśle, a zuchwała dziewczyna, gdy

ją zaklinano, by zaparła się, że sprzyja chrześcijanom, wyznała głośno, że

wielbi Chrystusa.

— Pójdźcie za mną — rzekł Decyusz spokojnie — w głębi domu bezpieczniej, musimy coś uradzić.

— I poprowadził obie do atrium, Siwa, jak gołąb, kobieta tam siedziała. Była to

żona Decyusza, matką Gabryelą zwana wśród chrześcijan. Decyusz powtórzył jej



słowa Gery.

— Co tutaj radzić — odparła poważnie — dziewczyna przy nas zostanie,  
przysposobię ją do Chrztu i matką jej będę przy świętym obrzędzie...  
niejedną  
mam już córkę chrzestną. Bóg własnych odmówił, Kocham przybrane.  
Gera pochyliła się wzruszona do ramienia starej.  
— Podziękuj i ty — rzekła następnie do Aktei. Dziewczę zbliżyło się powolnie do  
siedzącej,  
lecz pełna dobroci i spokojna twarz matki Gabryeli ośmieliła ją:  
przyklękła i  
rękę jej do ust swych poniosła.  
— Córką pokorną i posłuszną będę — rzekła. Staruszka ciemną jej główkę  
pogłaskała.  
— Słodkie to być musi i łagodne, jak ptaszyna — rzekła, podniósłszy wzrok na  
Gerę — a młode, więc pewno szczebiotliwe, poweseleje nasz głuchy dom przy niej.  
Gera wróciła do domu spokojna o wychowanek; odchodząc, obiecała Aktei, iż będzie  
ją często odwiedzała; dziewczynka nie płakała przy rozstaniu się z piastunką;  
czuła instynktem, iż w tym cichym domu, między tym dwojgiem pogodnych starców  
dobrze jej będzie, a przeczucie to wlewało w jej

duszę zbolałą kojący balsam; takiej ciszy w sercu dawno już nie miała.

I dobrze było w domu Decyusza biednej sierocie; starzy tkliwą opieką otoczyli  
powierzone ich opiece dziewczę. Gorliwi wyznawcy zasad Chrystusa, przygotowywali  
powoli Akteę do przyjęcia nowej wiary. Matka Gabryela należała do tak zwanych

dyakonis. Kobiety, zaszczycone w zgromadzeniu chrześcijan tą godnością, liczyć musiały koniecznie lat sześćdziesiąt. Obowiązki ich były następujące: pielęgnowanie chorych, wspieranie biednych, szycie i utrzymywanie w porządku kościelnych aparatów i bielizny, nauczanie dzieci i przygotowywanie do chrztu, pragnących przyjąć naukę Chrystusa... Matka Gabryela wiodła przeto bardzo pracowite życie. Aktei nie brakło też zajęcia: rano zanim ulice Rzymu się zaludniły, matka Gabryela z nią razem odwiedzała chorych i biednych współwyznawców, przyczem pomoc pieniężną, lub moralną im przynosiła. Wróciwszy, uczyła Akteę zasad nowej religii, następnie albo prały razem bieliznę kościelną, albo szyły aparaty kościelne. Czasami Decyusz brał sobie do pomocy Akteę; pełnił on w zgromadzeniu chrześcijan godność notaryusza. Obowiązkiem jego było zbierać akty męczenników za wiarę Chrystusa i spisywać do wielkiej księgi ważniejsze szczegóły, a także zbierać składki dla osób, zmuszonych ukrywać się przed prześladowaniem, dla biednych, chorych i więźniów, na potrzeby tajemnych kościołów, w których chrześcijanie odprawiali swoje obrzędy, na utrzymanie w porząd-

ku katakumb, a raczej grobów chrześcijańskich; czasami dzień nie wystarczał Decyuszowi na tyle zajęć. Wówczas przywoływał Akteę i kazał jej wpisywać zebrane akta do wielkiej księgi, a z zadania tego dziewczynka dobrze się wywiązywała,

gdyż pisała pięknie i biegle. Z każdym dniem bardziej zyskiwała sobie Aktea przybranych rodziców i sama coraz więcej przywiązywała się do nich. Gdyby nie tęsknota za bratem, o którym często myślała, troszcząc się, że nie zobaczy go może więcej, czułaby się zupełnie szczęśliwą. Wieczorem szli zwykle razem we troje do katakumb na wspólne modły chrześcijan. Tam obznajmiała się powoli z obrządkami wiary, do jakiej ją przygotowywano, i ze zwyczajami przyszłych swoich współwyznawców. Od czasu do czasu stara Gera odwiedzała dziewczynkę i udzielała jej nowin o rodzinie; od niej dowiedziała się, że Łucya, wróciwszy z wyścigów do domu i posłyszawszy o ucieczce Aktei, w tak szalony gniew wpadła, iż kazała obić różgami wszystkich niewolników i niewolnice; starą zaś Gerę na trzy dni głodu skazała; następnie sama doniosła Trajanowi, iż ktoś uprowadził z jej domu siostrę i że posądza o to chrześcijan, gdyż mała wyznała, że do nich należy; prosiła cezara, aby kazał szukać zbiegłej. Rozgniewany Trajan na Scypiona, iż kłamstwem ocalił Akteę, wezwał go do siebie; długo młody trybun musiał tłumaczyć się ze swego postępuku, przysięgając, iż nie wie, gdzie ukryło się

dziewczkę; w końcu uwierzył mu Trajan, lecz żegnając go, rzekł: — Strzeż się, Scypionie, jeszcze jeden krok niebaczny, a imię twoje wpiszę na miejsce wykreślonego imienia Aktei.

Minął jednakże rok cały, cichy i dobry dla Aktei, mimo usiłowań złej Sabiny, niczem nie zakłócony; Trajan zapomniał o niej, nieprzyjaciele Nazareńczyków zadowolnili się widokiem śmierci innych ofiar, Łucya, dnie całe pędząc na zabawach, nie miała czasu zaprzętać sobie nią myśli, i dziewczynka przygotowywała się spokojnie do przyjęcia chrztu, myśląc z radością o tym wielkim dniu, w którym wszystkie dawne przewinienia miały być jej odpuszczone.

Pewnego wieczora, a było to coś na tydzień przed ową uroczystością, wpadła do

domu Decyusza wzruszona Gera i rzekła do Aktei:

— Czy wiesz, mała, Wicyniusz powraca, mieliśmy świeże wieści;

Marcelus Petronius

pisał do Łucyi, iż lada dzień zjawi się w Rzymie razem z

siostrzeńcem. Łucya

czyni nowe zabiegi, aby cię odnaleźć, zapewne lęka się wyrzutów i gniewu ojca,

oraz brata twego.

Aktea zbladła, spostrzegł to Decyusz.

— Nie lękaj się, gołąbko, potrafimy cię ukryć rzekł spokojnie.

Lecz Gera wpatrzyła się uważnie w oczy dziewczynki i prócz obawy, by jej nie

odkryto, wyczytała inne jeszcze uczucie, więc rzekła:

— Sądzę, iż Wicyniuszowi należy prawdę powiedzieć, on bardzo kocha siostrę,

cierpiałby nato

nie wiedząc, co się z nią stało. A kto wie, czy widując tutaj Akteę, pod jej i

waszym wpływem chrześcijaninem nie zostanie.

Błada twarzyczka Aktei zakwitła rumieńcem, oczy jej pociemniały z radości, nie

śmiała jednakże odezwać się ze swoim zdaniem, lub z prośbą.  
Decyusz i Gabryela  
zamyślili się poważnie. Nareszcie starzec pierwszy podniósł głowę.  
— Gdy wróci, przyprowadź go do nas — rzekł.  
Dziewczynka rzuciła się do nóg jego z podziękowaniem, on drżącą  
dłoń położył na  
jej głowie i wzrok podniósł w górę.  
— Panie, daj jej sercu spokój — wyszeptał, poczem zwrócił  
spojrzenie na klęczącą  
u nóg jego — dzień wielki zbliża się dla ciebie, Akteo — dodał  
głosem  
uroczystym. — O tym dniu powinnaś obecnie tylko myśleć; potem  
serce twoje będzie  
mogło bić dla rodziny, dla bliźnich, dla ojczyzny, ale teraz tylko Boga  
i  
Chrystusa, Syna Jego, niechaj zna i kocha.  
Aktea podniosła się z powagą.  
— Wróć do domu, Gero — rzekła — i nie odwiedzaj mnie więcej  
przed wielkim owym  
dniem.  
Gera ucałowała ją kilkakrotnie.  
— W dzień uroczystości przyjdę cię pobłogosławić — odparła — jeśli  
powróci już,  
przyjdziemy razem.  
Dziewczynka starała się usilnie zastosować do rady Decyusza, lecz  
mimowoli  
często pobożne jej rozmyślenia i modlitwy płoszyły myśli o bracie:  
pytała się  
ustawicznie, czy powrócił?... czy wie już,

gdzie się schroniła i w jakim celu?... co na to powie?... Roztargnienie  
swoje  
starała się nagrodzić dłuższymi pacierzami, lecz serce jej mówiło: "nie  
liczba  
pacierzy, lecz żarliwość duszy podoba się Bogu. " Smutną była, a  
jednak skupić

ducha nie mogła.

Nadszedł nareszcie dzień chrztu. Zanim świt zaróżowił jasne niebo, Decyusz i

matka Gabryela wybrali się z Akteą do katakumb. Przybyli tam pierwsi. Katakumby

zawierały w czasie prześladowań chrześcijan nie tylko cmentarze, ale i kościoły:

groby mieściły się w ścianach wąskich kurytarzy, kościoły zajmowały obszerniejsze place. Jeden ołtarz i kropielnica stanowiły zwykle całą ich

ozdobę. Uprzedzony o mającej się odbyć wczesnym rankiem w świątyni uroczystości,

posługacz kościelny zapalił świece woskowe, tkwiące w srebrnych świecznikach na

ołtarzu i złotą lampę, od sklepienia się zwieszającą. Gdy Decyusz z żoną i

wychowanką przyszli, już widno od świateł jarzących było w kościele. Pomodliwszy

się najpierw u grobu matki, wzruszona Aktea podążyła następnie do chrzcielnicy.

Decyusz i Gabryela prowadzili dziewczynkę, białą ubraną. Gromadka wiernych,

powiadomiona o obrzędzie, mającym się odbyć, napełniła powoli pusty zrazu

kościół. Wkrótce rozpoczęto obrzęd... W białej szacie, z czystym sercem, z

jasnym i niewinnym spojrzeniem uklękła dziewczynka drżąca od wzruszenia obok

chrzcielnicy. Decyusz i Gabryela, którzy mieli być jej rodzicami chrzestnymi tuż

za nią stanęli. Żółte światło świec woskowych

zmieszane z migotliwym płomieniem olejnej lampy nadawało temu obrzędowi urok

tajemniczy; do klęczącej zbliżył się biskup, złoto na nim nie świeciło, tylko

jaśniał białą szatą lnianą, czystości nieposzlakowanej i wieńcem  
srebrnych  
włosów; w twarzy jego było tyle dobroci i rozumu, że Aktea,  
spojrzawszy nań,  
pochyliła kornie czoło do stóp jego...  
W tej chwili nie myślała o niczem innym, tylko o tem, że stojący  
przed nią  
starzec jest zastępcą Chrystusa, że niebawem do grona wyznawców  
wzniosłej nauki  
Jezusa policzoną zostanie, że dawna duma i upór odpuszczone jej  
zostaną, iż  
będzie jej teraz wolno nauczać drugich tej pięknej religii, która czyni  
ludzi  
dobrymi, i szczęście ciche, lecz trwałe, trwalsze niż życie, im  
zapewnia. Obok  
biskupa postępowało młode chłopię, w białą koszulkę odziane ze  
srebrną tacą, na  
której sól, olej święty w kryształowych naczyniach i srebrnych  
dzbanach niosło.  
Rozpostarłszy nad klęczącą rękę, starzec wyszeptał naprzód cichą  
modlitwę,  
poczem dotknął palcami jej uszu, mówiąc: "Effeta. " A gdy połał  
głowę Aktei wodą  
święconą, rzekł:  
— Ja ciebie chrzczę w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego!  
Wszyscy obecni się przeżegnali, a matka Gabryela, złożwszy ręce na  
piersiach,  
głośno modlić się poczęła: "Boże Święty, Stworzycielu i Panie nasz,  
błagam Cię  
za tą dziewczeczką, abyś dał jej chodzić w jarzmie Twojem lekkim,  
jakim jest  
żywot pobożny, sprawiedliwy i czysty; niechaj będzie pociechą  
kościółowi,  
niechaj zasłuży na żywot wie-

czny, w którym króluje miły Syn Twój, Jezus Chrystus. "

Biskup krzyż nakreślił nad Akteą.  
— Idź w pokoju — rzekł — a Pan niech będzie z tobą.  
Obrzęd się skończył, Aktea powstała, a starzec opuścił świątynię;  
teraz wszyscy  
zebrani poczęli się cisnąć do nowonawróconej, pozdrowili ją imieniem  
siostry i  
pocałunki z nią zamieniali. Wróciwszy do domu, Aktea siadła w  
ogrodzie i  
zamyśliła się o Tym, Któremu od dzisiaj służyć miała, o Tym cichym,  
pokornym  
Bogu, który ukochał miliony, milionom szczęście zapewnił, milionom  
dołę  
poprawił, którego zato miliony królem i panem uznały... Naraz szmer,  
od domu  
lejący, zbudził ją z tych rozmyślań. Spojrzała w głąb ogrodu i ujrzała  
spiesznym  
krokiem dążącą ku niej Gerę, a za nią matkę Gabryelę i jeszcze kogoś,  
kogo zrazu  
nie poznała, lecz wpatrzywszy się lepiej, wykrzyknęła radośnie:  
— Wicyniusz!  
I biedz poczęła ku zbliżającym się.  
Wicyniusz roztworzył ramiona i objął siostrę uściskiem czułym.  
— Ileżes ty mnie zmartwienia nabawiła, zanim Gera uspokoiła moje  
obawy! — rzekł  
z lekką wymówką.  
Aktea podniosła na niego spojrzenie badawcze.  
— Lecz dziś już spokojny o mnie jesteś, wszak prawda? — spytała.  
— Dziś wiesz  
już, że mi tutaj bardzo dobrze, że szczęśliwa...

Wicyniusz przycisnął ją mocniej do serca i pocałował w czoło.  
— Jeśli prawdę mam rzec, nie jestem spokojny o ciebie, nie będę  
spokojny, dopóki  
cię pod dachem wuja nie ujrzę — rzekł poważnie.  
Aktea wysunęła się z jego ramion i pociągnęła do ławki, z której  
wstała przed



chwilą. Gera i matka Gabryela podążyły za nimi.

— Słowami temi krzywdzisz przybranych moich rodziców — rzekła  
— są oni tak

dobrzy dla mnie, że lepszymi już być nie mogą; gdyby Łucya, chociaż  
w części

była taką, nie rzuciłabym jej była potajemnie.

— Łucya zmieniła się do niepoznania — odparł Wicyniusz — żałuje  
tego, co

zrobiła, pragnie, abyś wróciła. Dobrała sobie ona niestosowną  
towarzyszkę, za

późno się na tem spostrzegła i odpokutowała to ciężko... Wszystkie  
zadne matrony

Rzymu zerwały z nią stosunki, córkom swoim nie pozwoliły ją  
odwiedzać... Wuj

wygnał już Sabinę, trzeba, żebyś ty wróciła do niego, a naprawimy złą  
opinię

Łucyi. Młoda jest, przebaczą jej ludzie łącno, gdy zobaczą, że  
krzywdę

wyrządzoną sierocie stara się wynagrodzić. To siostra nasza, Akteo,  
przebaczyć

jej winniśmy; przyszedłem tutaj, aby cię zabrać z sobą, Gera mi  
powiedziała,

gdzie się schroniłaś.

Aktea zbladła.

— Jeśli ci powiedziała, gdzie masz mnie szukać, to powiedzieć  
musiała także, że

jestem chrześcijanką — odparła z wolna.

— Wiem i o tem — rzekł Wicyniusz — wyznałem wszystko wujowi,  
radząc się go, co

czynić. Wysłuchał mnie spokojnie i odrzekł: "Mimo to przyjmę ją pod  
mój dach,

wszak łagodny Trajan przebacza tym, którzy spostrzegłszy, że na  
błądną drogę

weszli, cofają się. "

Oczy Aktei błysnęły.

— O ja nie zerwę z nimi — rzekła z mocą — a nawet wszystkich  
usiłowań dołożę,  
abyś ty w Chrystusa uwierzył i wspólnie ze mną mógł się pomodlić u  
grobu matki.

Wicyniusz był blizkim zawołać:

— To ci się nie uda!

Lecz życie nauczyło go panować nad uczuciami i nie pozwalać zbyt  
pośpiesznie

słowom z ust wybiegać; spostrzegł, iż nie tak łatwo będzie stąd

wyrwać Akteę,

więc podstępny użyć postanowił.

— Spróbuj — rzekł — Trajan wielce łaskaw na mnie. Gdy mi ziemię  
podaruje,

zbuduję dom własny i zabiorę cię do siebie.

Tu począł przypominać minione lata dziecinne gdy razem igrali pod  
okiem matki i

byli szczęśliwi oboje, gdy marzyli, jak w przyszłości razem mieszkać  
będą,

niezależni od nikogo. Coraz mocniejsze wzruszenie ogarniało Akteę,  
czuła, że

serce jej drży, że wola słabnie, iż ulegnie w końcu namowom brata.

— Gero! — zawołała naraz z rozpaczą — czemu ty milczysz?

Wspieraj mnie, powiedz

mi, że ja wracać do Łucyi już nie mogę.

Słowa ostatnie wymówiła głosem stłumionym, w końcu łkaniem  
wybuchła. Objęła

piastunkę ramieniem i tuląc się do niej, szeptała:

— O niedobra, opuszczasz mnie, nawet na święty obrzęd chrztu nie  
przyszłaś mi

pobłogosławić.

— Spóźniłam się nie z mej winy — odparła Gera, gładząc ciemną  
główkę wychowanki

— pustym był już kościół, gdyśmy tam przybyli, więc tutaj  
podążyliśmy. Uspokój

się i posłuchaj mego zdania.

Aktea, mocując się z sobą, stłumiła płacz. Wówczas Gera, przysiadłszy się obok niej na ławie, tak mówić poczęła:  
— Nie widzę, dlaczego miałabyś nie wracać do nas. Marcelus Petroniusz wie o wszystkim i krzywdzić cię więcej nie pozwoli. Wicyniusza obecność powstrzymywać też będzie złośliwą Łucyę, a przytem i ona obecnie już nie taka, jak dawniej; przekonała się, iż jeśli nie Bóg, to ludzie złych karzą. Wszyscy, o których przyjaźń i szacunek dbała, odwrócili się od niej. Scypion nie wita jej na ulicy, zgnębioną jest i smutną, pragnie odzyskać przychyłność dawnych przyjaciół, poprawić sobie opinię... Nie przeczę, że tutaj łatwiej życie płynąć ci może, lecz czyż powinniśmy wybierać łatwiejszą drogę, czy tą, na której pożyteczniejsi być możemy?... Nie wielka zasługa być dobrą, pobożną, i cierpliwą, gdy nikt nas nie drażni, nikt przeszkód nie stawia naszej pobożności, lecz bądź taką wśród nieprzyjaciół Chrystusa, wśród tych, co szydzą

z jego nauki i od niej usiłują cię odciągnąć, wówczas na nagrodę zasłużysz.

— Jakież ze mnie może być tam pożytek? — spytała Aktea.

— Łucya przekonała się już, że ludzie chylą czoła przed dobrocią, a od złości

uciekają... może zechce być dobrą, ty ją tego nauczysz.

— I na mnie tam prędzej wpłyniesz, bo tam codzień widywać mnie będziesz —

dorzucił Wicyniusz, w duszy myśląc sobie: — ja łacniej wpłynę na ciebie. "

Dziewczynka podniosła ku błękitom spojrzenie pełne niepokoju.

— Panie, wspieraj mnie radą, bo nie wiem, co czynić — szepnęła.  
Poczem ukryła twarz w dłoniach. Chwilę tak siedziała, nieruchoma,  
pogrążona w  
myślach, nareszcie odsłoniła twarz.  
— Zostaw mi tydzień do namysłu, Wicyniuszu. Po tygodniu przyjdź  
znowu, a  
stanowczą odpowiedź otrzymasz.  
— Aż tydzień każesz mi czekać — odparł z wymówką.  
— Przyślij jutro do nas Gerę — odezwała się milcząca dotychczas  
matka Gabryela —  
przez nią powiem ci, co postanowiliśmy... Bez Decyusza ani ja, ani  
ona  
ostatniego słowa nie powiemy.  
— A teraz mam odejść?  
— Tak jest — rzekła stanowczo matka Gabryela.  
Wicyniusz powstał.

— Jeśli powrócisz do nas — rzekł, zwróciwszy się do siostry — nikt  
zmuszać cię  
nie będzie, abyś publicznie zaparła się swej wiary, pomówię sam z  
Trajanem i nie  
wątpię, że cię przed prześladowaniem zasłonię. Usłuchaj rady Gery,  
powrót twój  
dużo dobrego zrobić może: Łucyę poprawisz, mnie, kto wie, czy za  
sobą nie  
pociągniesz, staremu wujowi, który lat tyle ojcowskie serce ci  
okazywał,  
zasepione czoło rozjaśnisz; wesele powróci do jego domu.  
— Jutro przez Gerę otrzymasz odpowiedź — rzekła Aktea, chyląc się  
ku niemu z  
pocałunkiem.  
Na jej twarzy malowało się wielkie znużenie. Wicyniusz uścisnął ją.  
— Oddalam się z nadzieją w sercu, iż otrzymam jutro przychylną  
odpowiedź —  
rzekł, odchodząc.  
I otrzymał ją: Gera przyniosła mu list następującej treści od Aktei.

"Wróćę do was, lecz pierwszej muszę dopełnić jeszcze jednego obowiązku chrześcijańskiego, który uczyni mnie silniejszą w wierze mojej. Od dziś za tydzień przyjdź do mego kościoła, stara nasza piastunka zna do niego drogę. "

## V

Była to zima ciepła i łagodna, jak zwykle we Włoszech, dzień zapowiadał się pogodny. Słońce przedarło się już przez obłoki i wesołe promienie rzuciło ziemi... Tylko w katakumbach ciemno, jak gdyby noc wieczna panowała na ziemi. W jednym z podziemnych kościołów uroczystość jakaś ma się odbyć; furtyan, pilnujący porządku, zamiata pilnie świątynię, opyla z pyłu ołtarz, chrzcielnicę, świeczniki i lampę, a gdy skończył te czynności, począł zapalać liczne światła, i ciemności pierzchnęły z kościołka, z mroków czarnych wyłoniły się jego ściany. Był on o wiele ozdobniejszy od tego, w którym chrzest przyjmowała Aktea: ołtarz jego ozdobiony sztukaterią i malowaniem, przy nim widać dwie kolumny z piaskowca, na których stoją świeczniki siedmioramienne, a w nica goreją świece woskowe; od pułapu zwiesza się złota lampa. Naprzeciw ołtarza stoi krzesło wygodne z poręczami; obok niego kilka stołków. Obejrza-

wszy, iż wszystko w porządku, furtyan począł nasłuchiwać, czy pobożni nie nadchodzą; w kurytarzu rozległy się właśnie czyjeś kroki; po chwili weszły trzy osoby i stanęły na uboczu. Byli to Wicyniusz, Gera i Scypion. Wicyniusz stawił się na żądanie siostry, stara piastunka przyprowadziła go tutaj; Scypion uprosił ich, aby go zabrali ze sobą.

— Przyjacielem wszakże waszym jestem, zdrady obawiać się nie możecie — rzekł, a oni nie śmieli mu odmówić. Za tym trojgiem schodzić się poczęli inni: kościół się zappełnił... Wicyniusz i Scypion niespokojnym wzrokiem szukali wśród zebranych Aktei, lecz nie mogli jej zobaczyć. Chrześcijanie ciekawe spojrzenia ku nim rzucali.

— Kto oni? — pytali siebie i odpowiedzi nie otrzymywali. Obecność Gery uspakajała ich w pewnej mierze. Stara znaną była, jako gorliwa chrześcijanka, pewni byli, iż ci, których przyprowadziła, złych zamiarów nie żywią względem nich. Wtem z głębi jednego z bocznych korytarzy doleciał śpiew harmonijny, a zarazem uroczysty i słodki. Wicyniusza i Scypiona śpiew ów dziwnie przeniknął, podobnego uczucia nie doznali nigdy.

— Jezu, o, Jezu — dobiegły ich wyrazy, i z kurytarza wysunęło się jednocześnie kilka postaci niewieścich w czarnych szatach. Szły zwolna, śpiewały zgodnie hymn uroczysty, w rękę trzymały jarzące świece; w pośrodku nich widać było dziewczę całe w bieli, z zasłoną na twarzy, w wieńcu z białych kwiatów na głowie.

Jednocześnie z drugiego kury-

tarza wysunął się starzec, również w śnieżnej szacie, z pastorałem w rękę,  
otaczali go inni mężowie w czarnych sukniach. Był to biskup z orszakiem  
księży... Zbliżywszy się do krzesła, naprzeciw ołtarza stojącego, starzec zajął  
je, asystenci zaś jego zasiedli obok; orszak niewieści posuwał się tymczasem  
zwolna, a gdy już kilka kroków tylko dzieliło go od biskupa, dziewczę w bieli  
wysunęło się na przód i uklękło wzruszone u nóg jego.  
— Czego pragniesz, córko moja? — zapytał ją uroczystym głosem.  
— Przyjąć sukienkę poświęconą Jezusowi Chrystusowi — zabrzmiała odpowiedź.  
Wicyniusz drgnął.  
— Aktea — szepnął.  
— Aktea — powtórzył za nim, jak echo, Scypion i bladość obu licza pokryła.  
— Co ona uczynić zamierza? — zapytał Wicyniusz.  
— Ciszej — szepnęła im Gera.  
Umilkli obaj i patrzyli dalej, coraz bardziej niespokojni. Starzec, podniósłszy  
się zwolna, począł mówić głosem podniesionym:  
— Która z dziewic przyjmie tę sukienkę, dla tej uciechy świata zniknąć powinny,  
jedyną radość, jaką jej serce uznawać może, to radość, gdy łzę smutnemu osuszy,  
chorego z łoża boleści dźwignie, ciemnego oświeci, błądzącego nawróci; jedynym  
celem jej zabiegów ma być zbawienie duszy, jedynym pragnieniem, jedyną tęsknotą  
niebo... Czyś zastanowiła się nad tem, córko?

Umilkł. Akta podniosła głowę i odparła:

— Jedyne moim pragnieniem jest zasłużyć na niebo. Bóg mi  
dopomoże, abym za  
przykładem, sióstr moich wytrwała w cnocie.  
Starzec rozpostarł nad nią ręce i począł coś szeptać. Scypion i  
Wicyniusz  
zadrżeli o drogie im dziewczę i gdyby nie przyrzeczenie, jakie  
uczynili Gerze,  
idąc tutaj, iż niczem nie znieważą świątyni, byliby obaj pobiegli do  
klęczącej,  
porwali ją i z tego miejsca, które dziwnym lękiem przejmowało ich  
serca,  
uprowadzili.  
Tyle się nasłuchali złego o chrześcijanach, o ich zabobonach, czarach,  
iż  
niedziw, że obawiali się o Akteę.  
Skończył wreszcie starzec szeptać tajemnicze dla nich słowa, które w  
rzeczywistości były błogosławieństwem, i jedna z niewiast,  
otaczających Akteę,  
ślubującą wieczną miłość Chrystusowi, podała jej zakonną szatę.  
— Idź tam, gdzie najpożyteczniejszą w tej chwili być możesz —  
odezwał się biskup  
— my tutaj modlić się za ciebie będziemy, abyś ślubu nie złamała. Idź  
w pokoju,  
ufności i wierze. Gdy wątpić będziesz, my ci otuchy dodamy, gdy  
chwiać się  
będziesz, wzmocnimy cię, gdy przyjdiesz znużona i zboląca,  
pokrzepimy cię i  
pocieszymy.  
Aktea łkać zaczęła, starzec czekał, aż się uspokoi, poczem znowu  
przemówił, lecz  
teraz do wszystkich:  
— Mam wieści pewne, iż nakazanym zostało szpiegowanie i  
chwytywanie chrześcijan,  
ostrożniejsi



przeto być winniśmy; będziemy się teraz tylko nocą zgromadzali na  
modły i  
narady, a u wejścia na straży stać zawsze będzie jeden z was... Gdy  
stojący na  
górze spostrzeże grożące nam niebezpieczeństwo, wówczas krzyknie  
po dwakroć:  
Jezus! A gdy stojący na dole pochwycą to hasło, zasypią natychmiast  
wejście do  
kurytarzy. W tym celu trzeba dziś jeszcze nagromadzić kamieni i  
piasku... Teraz  
rozejdziemy się, dzieci, i pełnijmy odważnie wielkie dzieło  
podźwignięcia  
ludzkości z upadku... Bądźmy czujni i ostrożni, nie narażajmy się  
niepotrzebnie,  
bo im liczniejsi jesteśmy, tem więcej działań będziemy mogli. Lecz  
niechaj  
miłość życia nie będzie w nas silniejszą nad miłość Chrystusa; niechaj  
troska o  
siebie nie uczyni nas lęklivymi; pamiętajmy o tem, że umierając za  
Chrystusa,  
zdobywamy nieśmiertelność, że o tyle warto tylko żyć, o ile życiem  
naszem  
pomagamy, aby dobro, prawda i światło zwyciężyły na ziemi zło,  
obłudę i  
ciemnotę.  
— Amen — ozwali się obecni jednogłośnie i poczęli przystępować  
kolejno do  
starca, klękali u nóg jego i głowy kornie chylili, a on błogosławił  
wszystkich z  
kolei, krzyż znaczył w powietrzu nad nimi i głosem drżącym od  
wzruszenia  
szeptał:  
— Panie, wspieraj ich, czuwaj nad nimi.  
A gdy ostatniego pobłogosławił, oddalił się zwolna, otoczony księżmi.  
Chrześcijanie zaś zwrócili się do Aktei, z wyciągniętymi ramionami:  
— Żegnaj, siostró — mówili — niechaj Bóg wspiera twe święte  
zamiary.

Ona, płacząc, przechodziła od jednej do drugiej osoby.

— Módlcie się za mną, bracia i siostry — prosiła.

Pożegnani przez nią, opuszczali kościół i coraz puściej się w nim robiło,

wreszcie prócz Aktei i trojga stojących w odosobnieniu nikt więcej nie został.

Wówczas Aktea przystąpiła do starej piastunki.

— Cieszę się, że przyszedłeś — rzekła — łatwiej mi będzie z tobą wrócić do wuja.

— Sądzę, że i ze mną? — rzekł Wicyniusz.

Ona podała mu rękę i dłoń jego silnie uściśnęła; chciała coś powiedzieć, lecz

sposzregła Scypiona, więc słowa zamarły na jej ustach.

— Nie lękaj się go — rzekł Wicyniusz — to przyjaciel twój i nasz — poczem ujął

siostrę za rękę.

— Chodźmy stąd — rzekł — tutaj tak ponuro.

— Więc to miejsce przykre sprawiło na tobie wrażenie? — spytała ze smutkiem

Aktea.

— Przygnębiające.

— Chodźmy stąd — powtórzył.

— A grobu matki nie odwiedzisz? — zapytała Aktea.

Wicyniusz zawahał się.

— Kilka tylko kroków mamy do niego — mówiła dalej tonem prośby

— chciałabym go

pożegnać.

— Dobrze — odparł.

Aktea skinęła na odźwiernego, ten wyjął płonącą lampę ze złotego naczynia,

zwieszającego się

od pułapu, i ruszył przodem; w poważnym nastroju ruszyli za nim; niebawem

ujrzeli w ścianie kurytarza kamienną tablicę i czarnymi zgłoskami  
wryty na niej  
napis:  
"Żyj w pokoju, Waleryo, i módl się za nami. " Aktea przyklękła przy  
grobie i  
poczęła. modlić się cicho, Gera toż samo uczyniła, Wicyniusz i  
Scypion stanęli  
za nimi. Na twarzach obydwóch malowało się wzruszenie. Coraz  
tłumniej do głowy  
Wicyniusza cisnęły się wspomnienia. Życie gwarne, jakie teraz  
prowadził, zatarło  
ją w jego wspomnieniach, lecz w ciszy tutaj go otaczającej, przed tym  
kamieniem,  
imię jej noszącym stanęła, ona, jak żywa przed jego oczyma... I  
ogarniało go  
coraz większe rozrzewnienie, bronił się przed nim, walczył z nim, lecz  
zwyciężyło go w końcu: z oczu jego potoczyły się łzy, osunął się na  
kolana obok  
siostry i płaczem wybuchnął.  
— Matko! — począł skarżyć się głośno — czemu ziemię opuściłaś,  
zanim godzina  
szczęścia wybiła dla nas.  
Aktea zwróciła się ku niemu i dłoń swą położyła na ramieniu brata.  
— Ta godzina wybiję jeszcze, wierzę w to, nie tracę nadziei; dlatego  
tylko  
wracam do was, abyśmy z czasem mogli być razem — rzekła  
łagodnym głosem.  
Mówiąc to, myślała o przyszłym życiu, lecz on jej nie zrozumiał.  
— Czy widziałaś, aby kto z grobu powstał — odparł, wstrząsając  
głową.

— Nie widziałam, ale są tacy między nami, którzy widzieli podobne  
rzeczy —  
rzekła Aktea — a ten, którego czcimy, Jezus Chrystus, sam powstał z  
grobu i

obiecał wierzącym w Niego zmartwychwstanie po śmierci; ja wierzę,  
że śmierć dla  
mnie będzie przejściem do lepszego życia.  
Teraz zrozumiał ją, lecz nie uwierzył, westchnął i szepnął:  
— Zaiste, szczęśliwi ci, którzy mają takie przekonania.  
Marcelus powitał siostrzenicę z otwartymi ramionami. Łucya, lękając  
się, czy  
Aktea nie zechce wytłómaczyć wujowi, dlaczego dom jego opuściła,  
zbliżyła się do  
niej nieśmiało, lecz podobna myśl daleką była od dziewczęcia. Ani  
jedna skarga  
nie wyszła z jej ust. Przy obiedzie Petroniusz i Wicyniusz opowiadali  
o pobycie  
w Hiszpanii; słuchała ich z zajęciem, a gdy powstali od stołu,  
wezwana przez  
Łucyę, udała się z nią do ogrodu. Kiedy dziewczęta zniknęły za  
drzewami,  
Wicyniusz przysunął się spiesźnie do wuja i począł coś szeptać; chwil  
kilka  
rozmawiali ze sobą w wielkiej tajemnicy. Jeśli który niewolnik  
wchodził,  
przerywali szeptu natychmiast; nareszcie Wicyniusz powstał i udał się  
za  
siostrami do ogrodu; znalazł je w altanie, gdzie Łucya Akteę  
poprowadziła.  
— Życzeniem wuja jest, abym powiózł was na przechadzkę — rzekł,  
siadając przy  
nich — ponieważ po mieście krążą plotki, iż z powodu złośliwości  
Łucyi uciekłaś  
z tego domu, Akteo, Marcelus

życzy sobie, aby mieszkańcy Rzymu ujrzeli was razem jadące.  
Aktea zarumieniła się; widocznem było, że jej to życzenie wuja jest  
niemiłem,  
lecz odmówić nie miała żadnego powodu. Biskup, którego rady w tym  
względzie

zasięgała, rzekł jej: "W domu wuja pożyteczną możesz nam być  
wielce; im więcej  
zyskamy stronników wśród możnych Rzymian, tem silniejsi  
będziemy, a nie wątpię,  
że wpływ twój zbawiennie oddziała na nich. Nie usuwaj się od zebrań  
pogan, od  
uczestniczenia w ich rozrywkach, ale wszędzie i zawsze zdobywaj  
serca dla  
Chrystusa. Zakonną suknię, jaką podczas najbliższej uroczystości  
dostaniesz,  
przywdziejesz wtedy tylko, gdy chrześcijan odwiedzać będziesz; w  
domu stosuj się  
w zwyczajach do świata cię otaczającego. Unikaj wszystkiego, coby  
twych krewnych  
od ciebie oddalało... "

Więc nie mogła usunąć się od tego, do czego ją wzywano, bo nie  
spełniłaby  
wówczas woli biskupa, a przecież przysięgła mu posłuszeństwo.

Złocisty rydwan  
zajechał przed dom Marcelusa, Lucya i Aktea wsiadły do niego, obie  
strojne  
wielce. Wicyniusz ujął za wodze i sam skierował konie na Forum  
romanum, gdzie w  
każdej porze dnia, nocą nawet, ludno bywało. Tłum cofał się przed  
rozpędzonymi  
rumakami, wielu poznawało Akteę.  
— Wróciła — wołali, — rzuciła czarowników. Inni dodawali:  
— Pogodziły się z sobą.  
Naraz Wicyniusz zatrzymał konie.

— Co to — zapytał — jakieś ogłoszenie?  
Z dala na placu widać było słup wbity w ziemię z deską do niego  
przygwożdżoną,  
na niej przyklejony był pergamin. On skinął na jednego z  
przechodniów.  
— Czy umiesz czytać? — zapytał go.

— Umiem.

— Przeczytaj mi zatem ogłoszenie na słupie przybite.

— Alboż nie wiesz, co ono obwieszcza? — tonem zdziwionym rzekł nieznajomy.

— Mów, kiedy wiesz — odparł niecierpliwie Wicyniusz, poczem zwrócił się twarzą

ku siedzącym w rydwanie i wpatrzył się uważnie w Akteę; wiedział dobrze, co

ogłoszenie zawiera, lecz chciał, aby przez zupełnie obce usta dowiedziała się

siostra o jego treści. Umówili się z Marcelusem, iż strachem odciągną dziewczę

od nauki, którą przyjęła.

— To edykt cesarski — rzekł nieznajomy — ogłasza on Rzymianom, że ponieważ

chrześcijanie nie zaprzestają swych wstrętnych obrzędów i szerzyć swej błędnej

nauki, przeto Trajan nakazał śledzić ich znowu, chwycić i więzić.

Aktea słuchała tych słów obojętnie, spojrzeniem zaś odpowiadała bratu: "o siebie

i o nich jestem spokojną. "

Wicyniusz zdumiał się.

— Albo umie ukrywać uczucia serca — rzekł sam do siebie — albo ją oczarował ten

starzec, który szeptał nad nią jakieś tajemnicze słowa.

I podrażniony zawodem, jaki go spotkał, skinął głową temu, który treść edyktu

powtórzył, poczem ruszył lejcami i popędził dalej.

— Wywołałem bojaźń na twe białe lica — szepnął sam do siebie, zaciskając usta.

Teraz skierował konie za miasto.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Łucya.

— Do willi, którą siostra Trajana budować sobie każe — odparł Wicyniusz.

Niebawem w dali ukazały się mury nowo wznoszącego się budynku.  
Gdy dojechali do  
niego, Wicyniusz znowu konie zatrzymał.  
— Widok z okien pałacu będzie wspaniały — rzekł, wskazując w  
stronę Tybru, który  
z dala szumiał poważnie.  
Lecz Aktea nie patrzyła na rzekę, twarz jej zbladła śmiertelnie, z ust  
okrzyk  
bolesny się wydarł. Ujrzała robotników, dźwigających ciężary, pod  
którymi  
uginali się widocznie, a mimo to u nóg ich wlokły się grube, żelazne  
łańcuchy,  
gdy zaś który zatrzymał się, bo siły widocznie go opuszczały,  
wówczas dozorca  
znął się nad nim i batami go popędzali; po niejednych plecach krew  
płynęła.  
Wicyniusz spostrzegł bladość siostry i wyraz tryumfu wystąpił mu na  
lica, ale  
niebawem sam się przestraszył: Aktea wyskoczyła naraz z rydwanu i  
skierowała się  
między pracującą rzeszę; poznała ona w robotnikach chrześcijan, z  
którymi na  
wspólne modły schodziła się w katakumbach i nie umiała  
powstrzymać się, aby nie  
okazać im swego współczucia. Braterskim słowem ich pozdrowiła,  
uczyniła

im obietnicę, że przyśle dziś jeszcze dla wszystkich robotników  
zdrowy posiłek,  
poczem zerwawszy z rąk złote naramienniki, oddała je najstarszemu,  
mówiąc:  
— To dla łaknących i chorych.  
Dozorcy patrzyli na nią ździwieni, a kilku szepnęło:  
— Pewnie to chrześcijanka.  
— Prędzej jakaś można patrycyuszka — rzekł ktoś z boku.

Wróciła po chwili do rydwanu, bladość z jej lic już zniknęła, oczy jaśniały szczęściem niewysłowionem.

— Coś ty uczyniła? — rzekła do niej Łucya — dozorca gotowi cię oskarżyć przed cezarem.

— Za co? — odparła spokojnie — czy za to, że pociechę niosę nieszczęśliwym?

Sądzę, iż żadna religia, żaden władca tego nie zabrania?

Nie próbował już więcej Wicyniusz postrachem działać na siostrę.

Wróciwszy do

domu, opowiedział wszystko wujowi i inną drogę postanowili obrać.

Wieczór

przekonał ich bardziej jeszcze, że bojaźń nieznaną jest sercu dziewczęcia.

Siedzieli razem w ogrodzie, cisza ich otaczała... Naraz coś jak grom rozległo

się w przestrzeni.

— Na burzę się zbiera — rzekła Łucya i wzrok niespokojny ku górze podniosła,

gdyż burzy się lękała. — Dziwna rzecz jednak, ani jednej chmury nie widzę —

dodała — sklepienie zda się gorzeć od gwiazd.

— Bo też nie był to głos burzy, lecz lwów, które tęsknią za pustynią — odparł

Wicyniusz. — Pełno ich teraz po naszych arenach, wszakże Trajan nowe, krwawe igrzyska obiecał ludowi.

— Podobno wczoraj przywieziono do Rzymu kilka set drapieżnych zwierząt — odezwał

się Marcelus, wzrok badawczy topiąc w Aktei.

— Wiem o tem — odparła Aktea i jak gdyby odgadywała, dlaczego to mówi, dodała z uśmiechem:



— Każdy z nas, chrześcijan, oswojony jest z myślą, iż umrze śmiercią męczeńską.

— Ciebie ocalimy od drapieżnych zwierząt — rzekła Łucya z pewną dumą.

— Jeśli Bóg zechce, ocalicie, jeśli nie, wasze usiłowania rozbiją się o niepokonane przeszkody — odparła obojętnie Aktea.

Wicyniusz porwał się z miejsca i stanął przed siostrą wzruszony.

— Powiedz mi, jakiego napoju dali ci Nazareńczycy, że niczego się nie lękasz, ni

pracy, równającej nas z niewolnikami, ni więzienia, ni drapieżnych zwierząt —

rzekł głosem wzruszonym.

— Nauczyli mnie kochać Chrystusa, więcej niż siebie — odparła Aktea, podnosząc

jasny wzrok na brata. — On kochał prawdę, dobro i światło; zmarł na krzyżu, aby

dobro, prawda i światło zwyciężyły na ziemi... Ja też umrę z ochotą, aby On

zwyciężył. Miłość, Wicyniuszu, to siła, o którą nawet potęga piekieł skruszyć

się może; miłość gorąca, pełna zapomnienia, to siła, która łagodzi naj-

sroższe cierpienia, w najcięższych chwilach hartu dodaje sercom naszym, w

najdłuższych godzinach cierpliwości do wytrwania. Taką miłością napoili mi duszę

Nazareńczycy, tak kochać mnie nauczyli; dlatego jestem odważną, dlatego niczego

się nie lękam, co zbliżyć mnie może do Tego, Którego czczę.

— Tę miłość zabiję w twym sercu — pomyślał Marcelus — dam ci poznać ziemskie

rozkosze...

A gdy wieczorem rozchodził się z siostrzeńcem, rzekł do niego:

— Inną drogę obierzemy, Wicyniuszu, jutro ci powiem, com postanowił.

I nie było dnia od tego czasu, aby jakiej rozrywki nie obmyślili dla dziewcząt; gości po kilka razy na tydzień spraszali. Aktea upadała nieraz ze znużenia, gdyż po całych nocach często nie sypiała. Podczas owych uczt, na których zbytek w jadłach, napojach i strojach, raził ją, ileż przykrości doznawała... Często bardzo ktoś z biesiadujących począł dowodzić, że chrześcijanie są podpalaczami, oszustami i czarnoksiężnikami, że maleńkie jeszcze dzieci zanurzają w jakiejś tajemniczej wodzie, która ciało ich nieczułem na bóle męczeńskie czyni. Z tego powodu umierają bez jęku, gdy płomienie ognistymi językami obejmują ich członki lub zwierz dziki szarpie je ognistymi kłami. Aktea milczeć musiała i uczestniczyć w tych zebraniach, choć wstrętem ją przejmowały. To też rankiem zwykle, gdy Łucya jeszcze spała, przybrawszy się w suknię zakonną i płaszczem otuliwszy, wysuwała się z do-

mu cichaczem wraz z Gerą i spieszyła do katakumb, gdzie w modlitwie czerpała pociechę, gdzie słuchając mądrych słów biskupa, odzyskiwała spokój. Wracając, wstępowały najczęściej do biednych, chorych. Aktea oddawała im bogate podarunki, którymi wuj ją obsypywał. Pewnego dnia Marcelus zapowiedział dziewczętom, iż nową rozrywkę dla nich urządził, lecz, że dopiero wieczorem dowiedzą się o niej. Gdy słońce zapadło, dwie wspaniałe lektyki, jedna ponsowa, druga srebrna, drogimi kamieniami usiane,

postawili niewolnicy przed domem Petroniusza. Do pierwszej wsiadł Wicyniusz z siostrą, do drugiej Marcelus z córką i kazali się zanieść nad Tyber. Tam na rzece ujrzeli olbrzymią tratwę, na niej stół biesiadny, zastawiony ze zwykłym przepychem. Za nimi stoją muzykanci, śpiewaczki i tancerki, w kwiaty postrojone, a dalej niewolnicy z wiosłami w ręku. Jednocześnie z nimi zjawiono się wiele innych lektyk: Marcelus tutaj postanowił dziś uczcić gości swoich; przeszli wszyscy na galerę i stół obsiedli, niewolnicy chwycili za wiosła; plusnęły wody Tybru i posunęła się zwolna galera. Jednocześnie śpiewaczki i śpiewacy poczęli śpiewać, a muzykanci wtórowali im na cytrach. Tancerki lekkie, jak motyle, płały koło stołu i garściami kwiatów rzucały w górę, lub tworzyły żywe obrazy. Było coś czarującego w tej biesiadzie. Wino, które w puharach roznoszono, rozmarzało głowy; drobne pacholeta, strojne w złoto i jedwabie, ze srebrnymi dzbankami w dłoniach obchodziły biesiadników i stopy ich.

wonnymi olejkami skrapiały. Woń kwiatów napełniała powietrze. Aktea czuła, iż coś niezwykłego się z nią dzieje, że świat pogański podobać się jej zaczyna... Całą noc pływali po Tybrze, słuchali śpiewów i słodkich dźwięków cytr; pili, jedli i patrzyli na tancerki; o świcie dopiero wrócili do domu. Aktea i Łucya były znużone wielce, sen jednakże nie sklejał ich oczu, obie były rozmarzone

czarowną nocą. Łucya, zmieniawszy suknie, udała się do atrium i tam  
w chłodzie  
wodotrysku wspominała miłą ucztę.  
Aktea do siebie się usunęła i padłszy na kolana, wzrok utkwiła w  
jasne błękity,  
które przez otwarte okno ku niej patrzyły.  
— Panie, wspieraj mnie, bo słabnę! — zawołała.  
I zdawało się jej, iż jakaś mgła poczyna się spuszczać z jasnych  
błękitów i  
zasłania jej ucztę oraz biesiadników, inne obrazy zarysowały się w jej  
sercu,  
przed nią w dali ujrzała płaczące z głodu dzieci i nędzarzy  
umierających. Jęki  
ich i narzekania zagłuszyły słowa Scypiona. W sercu słuchającej  
budzić się  
poczęło uczucie wstrętu do zbytków, których używała przed kilku  
godzinami,  
wstydu, że mogła na jedną chwilę zapomnieć, ile łez płynie na ziemi,  
ile niedoli  
czeka wsparcia; uczuła żal do stryja, że tyle pieniędzy roztrwonił tak  
marnie i  
sama siebie pytała z niepokojem: czy Ten, Który nigdy nie dał się  
skusić złemu,  
przebaczy jej.

Wtem przysiadzby mogła była, że to było nie złudzenie. Tuż koło niej  
stała  
postać męża o twarzy przypominającej jak najwierniej twarz  
Ukrzyżowanego,  
którego w kościele widywała: "Wstań, córko, i do biednych braci  
twoich pośpiesz,  
czekają cię niecierpliwie — rzekła ta postać łagodnym głosem — nie  
lękaj się,  
nie opuszczę cię. "  
Po twarzy jej potoczyły się łzy ciche; pochyliła kornie czoło, ciężar  
spadł z

jej serca, chwil kilka jeszcze się modliła, poczem powstała, zmieniła suknię i

wyszła z mieszkania.

— Dokąd idziesz? — zapytała Łucya, gdy Aktea wybiegła do atrium.

Dziewczę drgnęło, teraz dopiero spostrzegła siedzącą pod wodotryskiem; zawahała

się, co powiedzieć, lecz wnet odzyskała przytomność.

— Kłamstwem ust nie plamię — pomyślała. — Zwykle rano odwiedzam biednych i

chorych — rzekła głośno — idę do nich.

— Pójdę z tobą — rzekła Łucya.

Promień radości rozświetlił twarz Aktei, zbliżyła się do siostry i pocałowała ją.

— Chodźmy — odparła głosem wzruszonym.

I wyszły razem. Aktea poprowadziła Łucyę do najbiedniejszej dzielnicy Rzymu. W

nędznej lepiance ukazała jej leżącego na barłogu starca, ranami okrytego. Sama

opatrzyła go, a w innym miejscu matkę chorą z trojgiem dzieci drobnych, którym

przyniosła chleba i mięsa, aby nie umarły z głodu. Łucya ze wstrętem odwracała

spojrzenia od bladych, wynędzniałych twarzy, podziwiała siostrę, gdy

ta pochylała się nad łożeni starca, lub gdy głodne, brudne maleństwa pieściła.

Łucya myślała sobie:

Jacyś my inni od nich. "

Myśląc tak, uciekała do miłych wspomnień, do uczty wczorajszej, aby się trzeźwić

w tej ciemnocie, w tym zaduchu nędzy. Akteę przeciwnie, widok tych nieszczęśliwych trzeźwił z rozmarzenia, jakie ją ogarnęło, z czaru,

któremu dała

się ować.

Wracały obie milczące i zamyślane do domu. Dopiero gdy ujrzały go w dali, Łucya

się odezwała:

— Wy, chrześcijanie, lepsi jesteście od nas, tego nie przeczę: niedola drugich

tak żywo was obchodzi, jak własna... Lecz czy szczęśliwsi jesteście od nas, o

tem wątpię... Gdy wspomnę owych biedaków, pracujących w ciężkich łańcuchach przy

budowie willi Trajana, tych nieszczęśliwych, szarpanych w cyrku przez dzikie

potwory, wówczas wzdrygam się cała i bogom dziękuję, że chrześcijanką nie

jestem... Nie wierzę w to, o co oskarżają ich; gdyby byli podpalaczami i

oszustami nie należałabyś do nich; podziwiam ich i żałuję jednocześnie... Biedni

oni, zaiste bardzo biedni!

— Oni nie biedni, oni szczęśliwi, Łucyo — rzekła Aktea.

— Nie wierzę.

— Pójdź ze mną choć raz do więzienia, gdzie oczekują śmierci, a przekonasz się.

— Dodrze, pójdźmy, chociażby dzisiaj...

— Dzisiaj, tem lepiej — rzekła Aktea — jutro mają się odbyć igrzyska z

chrześcijanami, dawno

przyobiecane ludowi, tem łacniej będę cię mogła przekonać o prawdzie słów moich

i poprowadzę cię spokojna, że nie narażasz się na podejrzenie, chociaż ich

odwiedzisz, gdyż w wigilię śmierci każdemu wolno skazanych pocieszać.

Gdy słońce zaszło, Aktea i Łucya, ubrawszy się w ciemne szaty, wyszły pod opieką

Gery i udały się na jedną z bocznych ulic miasta. Tam, wśród niskich, drewnianych domków wznosił się dwupiętrowy, kamienny budynek; minąwszy jego

bramę, Gera poprowadziła dziewczęta przez dziedziniec do bocznej oficyny;

wszedłszy do sieni, ujrzały schody w górę prowadzące.

— Chrześcijanie są umieszczeni w podziemiach — rzekła Gera.

— Którędyż się tam wchodzi? — zapytała Łucya.

Gera pokazała jej niewielki otwór w kamiennej posadzce kurytarza.

— Tędy — odparła. Łucya spojrzała zdziwiona i zatrzymała się, lecz Aktea śmiało

postąpiła naprzód i weszła do owego otworu, a gdy stanęła na czwartym stopniu,

gdy widać ją było tylko do połowy, zwróciła się do siostry z uśmiechem:

— Nie lękaj się — rzekła — podam ci rękę, zejdziesz bez szwanku. Łucya postąpiła

ku niej.

— Tym otworem spuszczają żywność więźniom, tędy oni wchodzi, tędy światło Boże

do nich się dostaje, innego wejścia, ani wyjścia w wie-

zieniu tem niema — mówiła Aktea, prowadząc siostrę.

Dostały się wreszcie do więzienia chrześcijan. Była to wielka, kwadratowa izba o

ścianach kamiennych, które lśniły wilgocią. Wisiały na nich ciężkie łańcuchy,

przy kilku widać było przykutych ludzi za ręce i nogi; znaczna grupa więźniów

siedziała w pośrodku w około wielkiego stołu, białym płótnem nakrytego; twarze

tych ludzi były jasne, w oczach radość świeciła.

— Ci zapewne są wolni — rzekła Łucya — cieszą się, że wrócą do rodziny.

— O, nie, ci dzisiaj poprowadzeni zostaną na śmierć — odparła Aktea. — My,

chrześcijanie, wierzymy, że kto umiera z czystym sercem, temu śmierć otwiera

drogę do życia i szczęścia wiecznego, więc radują się.

— A tamci, przykuci do ściany?

— Na tamtych wyrok wydany jeszcze nie został.

Prócz Gery, Łucyi i Aktei, było jeszcze kilka osób w więzieniu, jedne z nich

przyszły przez prostą ciekawość, inne pożegnać przyjaciół; ci ostatni podawali

dłonie więźniom, rozmawiali z nimi, witali ich. Łucya czuła, iż wzruszenie ją

ogarnia. Wobec tak wielkiego męstwa malała we własnym przekonaniu, w sercu jej

część się budziła dla tych, którymi dotychczas pogardzała.

Nie we wszystkich widzach budzili chrześcijanie takie wrażenie.

Kilku mężczyzn,

stojących na uboczu, patrzyło na nich posepnym wzrokiem.

Wtem jeden z tej grupy wyciągnął rękę przed siebie i rzekł głośno, wskazując

palcem siedzącego na końcu stołu młodego chrześcijanina:

— Czarownik, podpalacz, raduje się serce moje na myśl, że zobaczę wkrótce krew

jego.

Chrześcijanin zdawał się nie słyszeć tych słów, gdyż rozmawiał z siedzącym obok

niego towarzyszem. Podnieciło to gniew poganina.

— Przez niego straciłem syna — począł bardziej podniesionym tonem — mój chłopak

nie wiedział, że to Nazareńczyk i wziął go na swoją łódź, gdy przeprowiał się

przez Tyber. Bogowie widać rozgniewali się o to na niego. Neptun wzburzył

bałwany, ryknęły groźnie, łódź się zachwiała, a ten czarownik ukląkł i począł

szeptać zaklęcia. Nagle łódź zachwiała się i przewróciła, syn utonął, a on

dopłynął do lądu. Patrzałem z brzegu, przybiegłem do niego i krzyknąłem: "Czemu



syna mego nie uratowałeś, przecież umiesz pływać?" "Mnie Chrystus uratował",  
odparł. Od tego czasu nienawidzę tego człowieka.  
Mówiąc to, podjął z ziemi odkruszony od posadzki kawał kamienia i rzucił nim  
naprzeciw siebie; rzut był celny, więzień zachwiał się i nie jęknąwszy nawet,  
upadł na ziemię. Łucya krzyknęła, Aktea z Gerą pobiegły do ugodzonego i poczty  
rozcierać jego pulsa; próżne były wszakże ich usiłowania; trafiony celnie w  
skronie, nieszczęśliwy już nie żył. Chrześcijanie podjęli go i przenieśli pod  
ścianę. Tam na macie rozesełanej, jak do snu go umieścili, poczem  
złożyli mu ręce  
na piersiach

i otoczywszy go w koło, odmówili na klęczkach modlitwę za umarłych. Tymczasem na  
schodach rozległy się czyjeś kroki. Po chwili wszedł do więzienia starzec w  
białej szacie, z białym ręcznikiem na szyi, z puszką złotą w rękach. Otaczało go  
kilku ludzi w czarnych sukniach. Był to biskup dyakonami otoczony. Więźniowie  
postąpili ku niemu i uklękli. Twarze ich stały się teraz jeszcze jaśniejsze.  
Starzec odmówił błogosławieństwo nad pochylonemi głowami, poczem rzekł:  
"Idźcie w pokoju tam, gdzie Pan wzywa was. Wkrótce szczęście wiekuiste stanie  
się waszym udziałem. " Rzekłszy to, oddalił się wolnym krokiem, więźniowie zaś  
obsiedli stół i ucztę pożegnalną rozpoczęli.  
Wróciwszy tego dnia do domu, Łucya oddaliła się do siebie; przedtem

zapowiedziała niewolnicom, aby nikogo do niej nie wpuszczały.  
Aktea z Gera  
poszły odwiedzić matkę Gabryelę. Niewolnica Zara była przekonana,  
że pani jej  
obcych tylko widzieć sobie nie życzy, więc, gdy Wicyniusz powrócił  
do domu i  
dowiedziawszy się, że Aktea wyszła, zapytał o Łucyę, wskazała mu  
drogę do  
pokoju. Witany zawsze uprzejmie, wszedł, nie prosząc o  
pozwolenstwo, lecz jakże  
się zmieształ, gdy ujrzał, że Łucya, leżąc na łóżku, łkała głośno.  
— Co tobie? — zapytał zdziwiony.  
Ona zerwała się gniewna, łzy w jednej chwili oschły na jej powiekach.

— Kto ci powiedział, że jestem tutaj? — zapytała rozdrażnionym  
głosem.  
Chciał powiedzieć — kto, lecz zląkł się, iż niewolnica będzie ukarana.  
— Zwykle o tej porze bywasz u siebie, a nigdy nie bronisz mi wejścia,  
więc  
przyszedłem — odrzekł.  
Te słowa ułagodziły ją, wskazała mu stojący obok stół.  
— Cóż to za wieść? — spytała.  
— Cezar ofiarował nam na jutrzejsze w cyrku przedstawienie łożę  
najbliższą swej  
własnej.  
— Ja tam nie pójdę — stanowczym tonem rzekła Łucya.  
— Jutrzejsze widowisko rozbroi ostatecznie opór Aktei, liczę na to  
niezawodnie —  
mówił Wicyniusz. — Ty ją namówisz, aby poszła. Mają tam rzucać  
chrześcijan w  
siatkach dzikim zwierzętom. Głośne jęki rozlegną się w cyrku,  
których złęknie  
się Aktea.  
— Nie odbieraj jej tego, co daje ludziom jedynie trwałe szczęście —  
odparła  
poważnie Łucya.

Wicyniusz porwał się ze stołka.

— Coś powiedziała? — zapytał zdziwiony. Ona powtórzyła spokojnie poprzednie

— Czyż mam zrozumieć, że cię Aktea przekonała, nie ty ją — rzekł, patrząc

badawczo w jej oczy. Łucya opuściła powieki.

— Nie wiem, nic nie wiem jeszcze — rzekła głosem wzruszonym — ale to wiem, że najnędzniejszy

z ludu jest szczęśliwszym od jedynej córki możnego Marcelusa.

Widziałam,

Wicyniuszu, kobiety łaknące chleba dla swych dzieci, a jednak spokój w ich

oczach czytałam; widziałam chorych starców, okrytych ranami i z ust ich

słyszałam słowa poddania się łagodnego, widziałam więźniów skazanych na pożarcie

dzikim bestyom, spokojnie spożywających ucztę pożegnalną. A ja... ja jakże

często nie mam spokoju w sercu, pogody w duszy, wesela w oczach.

Uczty, rozrywki

chwilowo czarują mnie, potem czuję się znużoną i pytam: "Jaki cel życia?" Toć

mnie to wszystko nudzi. Czczo mi w duszy, smutno i tęskno, a za czem, sama nie

wiem. Ja, można, jestem nieszczęśliwa, a biedna sierota, Aktea, jaśniej pogoda

Niebios.

Wtem uczuła, iż czyjeś ramiona objęły ją łagodnie, że czyjaś twarz pochyliła się

ku niej i ktoś pocałunek złożył na jej czole.

— Łucyo! — szepnął głos słodki, dobrze jej znany — chciej, a będziesz spokojna,

zgódź się, a otworzę ci drogę do szczęścia cichego, które moim jest udziałem.

— Ach, pragnę tego — odparła z mocą Łucya, poczem obie siostry rzuciły się sobie w objęcia. Na chwilę złączył je uścisk serdeczny. Aktea nie zastała matki Gabryeli, wróciła przeto spiesźnie do domu. Weszła niespostrzeżona do pokoju Łucyi i wysłuchiwała mimowoli jej rozmowy z Wicyniuszem.

— Łucya na drodze do nawrócenia, na Łucyę światło Boże zstąpiło!  
— wołał głos pełen radości

w jej sercu i szczęśliwa tem odkryciem, zbliżyła się do siostry, aby ją ucałować. Nie mówiła jej wszakże, co ją tak raduje, gdyż lękała się spłoszyć te uczucia dobre, które obudziły się w sercu Łucyi. Wicyniusz patrzył na obie posepny, do duszy jego wkradał się niepokój. Czuł, że Aktea zwycięża, że usiłowania jego rozbijają się o jakąś wolę silniejszą od jego woli, nieznaną mu, z którą walczyć nie umiał, której poczynał się lękać.

— Więc stanowczo nie pójdziesz jutro do cyrku? — zapytał, zwracając się do Łucyi.

— Stanowczo — odparła, tuląc Akteę do siebie.

— A jeśli Trajan zapyta mnie, dlaczego nie przyszłyście.

— Powiesz, że na męczeństwo ludzi niewinnych patrzeć obie nie możemy.

— Ta odpowiedź zgubić was może.

— Aktea wybawi mnie i siebie. Wicyniusz oddalił się chmurny, postanawiając powtórzyć Marcellusowi rozmowę z jego córką. Tegoż wieczora Łucya oświadczyła Aktei, iż towarzyszyć nazajutrz jej będzie w odwiedzinach do biednych i że od siebie wsparcie im zaniesie. Tak się też stało.

Gdy wracały rankiem z pobożnej wycieczki, rzekła:  
— Jakaż to wielka przyjemność dobrze ludziom świadczyć, tak  
błogiego uczucia,  
jak w tej chwili, chyba jeszcze nigdy w sercu nie miałam... Wasz  
Chrystus był  
prawdziwym Bogiem, dał człowiekowi trwałe szczęście. Opowiedz  
mi co o Nim.

Aktea powtórzyła jej w skróceniu historię narodzenia Jezusa, jego  
dalsze życie,  
oraz mękę. Łucya słuchała uważnie, a gdy Aktea skończyła  
opowiadanie, zapytała:  
— Więc Jemu ślubowałaś być wierną do śmierci, umrzeć raczej, niż  
sprzeniewierzyć  
się Jego nauce.  
— Jemu — odparła Aktea.  
— Nie dziwię ci się, przed Chrystusem i ja zegnę kolano, lecz czyż  
On na  
grzeszną Łucyę, która tyle razy dla słabszych okrutną się okazała,  
wejrzyć  
raczy?... O, nie, On mnie odepchnie ze wzgardą.  
— Posłuchaj przypowieści, którą Jezus opowiadał swoim uczniom —  
odparła Aktea i  
poczęła jej opowiadać: "o marnotrawnym synu. " Łucya, słuchając,  
ukryła twarz w  
dłoniach, Aktea nie mogła przeto dostrzedz, jakie słowa jej czynią  
wrażenie.  
Wtem dojrzała brylantową łzę, ściekającą z pomiędzy palcy Łucyi.  
Ona płakała,  
była wzruszoną, a serce jej otworzyło się dla Chrystusa...Łucya ujęła  
rękę  
siostry i ścisnąwszy ją mocno, rzekła:  
— Ojca waszego, Boga w Niebiesiech, chwalić będę od dziś. Jego  
kochać i czcić,  
skarby swoje w niebie składać będę, tam serce moje będzie.  
I usunęły się obie na kolana i razem mówić poczęły:

— Panie, wspieraj nas, czuwaj nad nami! — Gdy powstały, Aktea  
ucałowała Łucyę  
czule.

— Celem człowieka jest doskonalenie siebie i praca, by światło Boże  
coraz  
szerzej się rozlało po ziemi; celem całej ludzkości być codziennie bliżej  
Boga,  
więc gdy człowiek mija się z tym celem i jedynie myśli o tem, aby  
sobie  
dogodzić, wówczas czuje w duszy ciągły niepokój, ciągle  
niezadowolenie, ciągły  
brak czegoś.

— Doświadczyłam ja tych męczarni — z westchnieniem odparła  
Łucya.

— Lecz gdy spełnia człowiek myśli Boże, gdy z celem życia swego  
nie mija się,  
wówczas spokój i zadowolenie wewnętrzne stają się jego szczęściem.  
O, i ty je  
zdobędziesz, Łucyo droga!...

## VI.

Zapowiedziane ludowi igrzyska odbyły się w dniu oznaczonym. Cyrk  
był pełen:

dwudziestu chrześcijan dla zaspokojenia chciwego krwi pospółstwa  
cezar oddał

tego dnia na łup panter i lwów; tłum opuścił widowisko zupełnie  
zadowolony... W

łóży, najbliższej ceszarowej, siedzieli Wicyniusz z Marcelusem,  
posepni,

niespokojni: pierwszy drżał o siostrę, drugi o córkę... Nie dały się  
nakłonić,

aby pójść na widowisko. Aktea trwała w wierze, która mogła lada dzień ściągnąć na nią śmierć okropną, Lucya poczyniała ulegać wpływom chrześcijaństwa.

— Trzeba niebezpieczeństwo zażegnać, rozmówię się z obiema stanowczo — rzekł

Marcelus do siostrzeńca, gdy wracali do domu.

I wszedłszy do atrium, kazał natychmiast jednej z niewolnic przywołać do siebie

Lucyę i Akteę. Niewolnica oświadczyła, że obie udały się już na spoczynek.

— A zatem przyjdą jutro rano — rzekł Petroniusz do Wicyniusza, pomożesz mi w

rozmowie. Aktea cię kocha... Gdy ją zaklniesz w imię miłości braterskiej, może

ulegnie twym prośbom.

Wicyniusz stawiał się o ósmej rano w sypialni wuja, lecz gdy posłali po Lucyę i

Akteę, niewolnice oświadczyły, że o świcie obie wyszły na ulicę.

Petroniusz

zachmurzył się.

— Nie odchodź — rzekł tonem gniewnym — wszakże wrócą.

Wróciły niebawem, dowiedziawszy się, że Marcelus ich wzywał, pospieszyły obie do

niego.

— Gdzieś była? — zapytał Lucyi surowo Petroniusz.

Ta podniosła na niego niezwykle łagodne i jasne zarazem spojrzenie.

— Tam, gdzie zdobywa się spokój i trwałe zadowolenie — odparła.

Słowa te bardziej jeszcze zaniepokoiły ojca.

— Mów jaśniej! — rzekł.

— Poszliśmy siać wśród smutnych wesele, obcierać łzy cierpiącym, dawać pociechę

zwątpiałym — odparła Lucya.

— Czy naszych, czy Nazareńczyków wspierałyście?

— Naszych.

— To zmniejsza waszą winę... W każdym razie źle postapiliście,  
wychodząc bez  
opowiedzenia się.

W oczach Łucyi pojawiły się błyski gniewu.

— Niewolnicą nie jestem — rzekła dumnie.

— Ale córką — odezwała się łagodnie Aktea, kładąc dłoń na jej  
ramieniu, a córka  
winna posłuszeństwo ojcu.

— Więc zgadzasz się na to żądanie? — zapytała zdziwiona Łucya,  
zwracając się do

Aktei. — A jeśli zabronią nam odwiedzać biednych.

— Marcellus Petroniusz nie uczyni tego — odparła spokojnie Aktea.

— On wie, że

wspaniały Rzym kryje w swych murach straszną nędzę; rad będzie,  
gdy córka Jego

tę nędzę zmniejszy.

Petroniusz milczał posepny.

— Ojczy, czemu nie odpowiadasz? — spytała go po chwili Łucya,  
patrząc nań

niespokojnie.

On podniósł czoło.

— Jeśli Aktea przyrzeknie mi, że nie będzie więcej odwiedzała w  
tajemnicy

chrześcijan, że przestanie uczęszczać do ich ukrytych świątyń,

wówczas pozwolę

wam codziennie naszych biednych odwiedzać, będę nawet dawał  
pieniądze, abyście

mogły hojnie ich wspierać...

Po bladej twarzy Aktei przebiegła różowa łuna, oczy jej łzami zasły,  
bolesna

walka toczyła się w jej sercu. Trwało to wszakże krótko, gdyż wnet  
podniosła

czoło.

— Przyrzekam — odrzekła poważnie.



Kiedy jednakże wyszła z pokoju wuja, pobiegła natychmiast do Gery;  
tutaj  
tłumiony żal wybuchnął gwałtownie. Łkając, opowiedziała piastunce  
swoje  
zmartwienie.

— Powiedz braciom i siostram — mówiła głosem przerywanym — że  
się nie  
przeniewierzyłam Chry-

stusowi, ie kocham mój kościół dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, że  
ulegam tylko  
woli biskupa, który mi polecił wytrwać wśród swoich i nawrócić ich.  
Gera

przygarnęła ją czule do piersi.

— Łaska Boża czuwa nad tobą — rzekła. — Pan pobłogosławi twej  
pracy. Ziarna

rzucone twoją dłonią — nie zmarnieją. Tylko patrzeć, jak Łucya  
chrztem świętym

oczyści serce z dawnych przewinień, widzę to z twojego opowiadania.

Rozmawiaj

z nią codzień, pracuj wytrwale, a zbierzesz słodki owoc swych  
zabiegów.

— O, będę, będę pracowała! — z mocą odparła Aktea. — Lecz  
niepewne są rachuby

ludzkie, często nas bardzo zawodzą.

Po południu tego samego dnia Aktea i Łucya, siedząc pod cieniem  
winogrodu,

układały sobie plan dnia następnego. Naraz spostrzegły spieszącego  
ku nim

Wicyniusza; wyraz twarzy jego nic dobrego nie wróżył.

— Akteo — przemówił drżącym głosem, stanąwszy przed niemi —  
masz udać się

natychmiast do pałacu cezara. Trajan wysłał po ciebie Scypiona z  
lektyką, gdyż

lęka się, abyś nie uciekła.

Ona podniosła się spokojnie.

— Obawy cezara płonne — rzekła z godnością, nie uciekam przed niebezpieczeństwem. Cokolwiek mnie spotka, spotka mnie z woli Boga.

— Ja jednakże samej cię nie puszczę — odezwała się Łucya. —  
Wsiądę z tobą do  
lektyki... Sądzę, że ojciec zezwoli na to.

— I ja będę wam towarzyszył — rzekł żywo Wicyniusz.

Scypion czekał na nich w atrium, niewolnicy cezara z lektyką na dziedzińcu.

Marcelusa nie było w domu. Scypion oświadczył, iż czekać na niego nie mogą, gdyż

Trajan rozkazał, aby Aktea przybyła bezzwłocznie, wybrali się przeto natychmiast. Dom Marcelusa leżał w pobliżu pałacu cesarów.

Niebawem stanęli

przed nim. Gdy Łucya i Aktea wysiadły z lektyki i ku sieni, wiodącej na pokoje

królewskie, się zwróciły, Wicyniusz spostrzegł wychodzącą z niej Sabinę. Rzuciła

ona pełne jadu i tryumfu spojrzenie na Akteę, a gdy wybiegła na ulicę, rozśmiała

się i rzekła sama do siebie:

— Przez ciebie wygnał mnie ze swego domu Marcelus, przeze mnie ty daleko stąd  
pojedziesz.

Wicyniusz słów nie słyszał, lecz coś go tknęło, że ta wstrętna kobieta, jest

sprawczynią jego niedoli i pięść zacisnąwszy, szepnął:

— Dojdę prawdy... Jeśli Sabina winna, zemszczę się...

Dworzanie cezara poprowadzili przybyłych do sali tronowej... Trajan oczekiwał

Aktei w całym majestacie swej godności: siedział na złotym krześle, płaszcz

purpurowy miał na sobie, na czole złoty dyadem, straż przyboczna tron jego  
otaczała.

Poznał on od razu Akteę, brata jej i siostrę, ukłonem pełnym  
odpowiedział na ich  
korne powitanie, poczem zwróciwszy się do siostrzenicy Marcelusa,  
rzekł:

— Akteo, oskarżoną jesteś ciężko, przywołałem cię, abyś oczyściła  
się z zarzutów  
na nowo ci uczynionych.

— Jakaż winę przypisują mi nieprzyjaciele moi? — spytała śmiało  
Aktea, wzrok  
jasny na cezara podnosząc.

— Że odwiedzasz chrześcijan w tajemnicy przed wujem i bratem, że  
uczestniczysz w  
ich obrzędach, że rozszerzasz błędną naukę Nazareńczyka wśród  
mojej ludności.

— Wina, którą mi zarzucają, nie jest winą w oczach moich — odparła  
Aktea —  
jestem chrześcijanką, nie zapieram się tego... ślubowałam  
Chrystusowi, iż naukę  
jego rozpowszechnić będę.

Trajan spojrział na nią groźnie.

— Znieważasz mój majestat, przyznając się niemal z pychą wobec  
mnie do tak  
wielkiej winy — rzekł głosem podrażnionym.

— Znieważałabym cezara, gdybym kłamała przed nim; lecz gdy mu,  
jak ojcu, prawdę  
wyznam, daję tylko dowód, że go czczę i kocham jak ojca.

Słowa te sprawiły wrażenie. Trajan spojrział na Akteę łagodniej.

— A oni — brat twój i siostra, czyż także są chrześcijaninami? —  
zapytał.

— Oni wszelkiemi siłami starali się mnie odciągnąć od Chrystusa.  
Trajan zamyślił się. Wicyniusz, Łucya i Scypion patrzyli  
niespokojnym wzrokiem,  
czytając z jego oczu. jaki wyrok wyda.

— Młodą jeszcze jesteś — rzekł po chwili — mam przeto nadzieję, że wrócisz do nas, wyroku śmierci nie wydam... Lecz jeśli nie wyrzeczysz się Nazareńczyka, jeśli publicznie się go nie zaprziesz, ukarać będę zmuszony, skażę cię na wygnanie... Lucya zbladła i błagalne spojrzenia zwróciła na Akteę; Wicyniusz i Scypion mówili do niej również wzrokiem: "Powiedz, że pokłonisz się Jowiszowi".

Lecz ona nie patrzyła na nich.

— Śmierci się nie lękam, bo ona daje wieczne życie — odparła spokojnie — wygnania dla chrześcijan niema, bo nad całą ziemią Bóg nasz czuwa i całą ją stworzył, bo wszędzie znajdę braci i siostry... Chrystus, którego czczę, uczył, że każdy człowiek jest bliźnim naszym, czyli bratem... Nie lękam się wygnania, bom pewna, że wszędzie znajdę ślepych, którym bielmo z oczu zdejmować trzeba będzie; słabych, których będę mogła dźwigać, nie zbraknie nigdzie dla mnie ani też pola do pracy w imię Chrystusa.

Trajan powstał z tronu.

— Zgubiłaś się dobrowolnie Akteo — rzekł — miłuję wuja twego i brata, więc ratować cię chciałem; odepchnęłaś dłoń podaną, leć-że w przepaść... Jutro przed wschodem słońca wsiądziesz na statek i odjedziesz na brzegi Afryki... Nikt nie będzie cię więcej widział w Rzymie.

Wola Chrystusa śle mnie pomiędzy dzikie ludy, pójdę z ochotą, gdzie wzywa mnie!

— odparła Aktea.

Trajan zwrócił się do Scypiona.

— Na ciebie kładę obowiązek, aby wyrok mój został spełnionym —  
dodał. — Jeśli

Wicyniusz i Marcelus nie skłonią tego dziecka, aby dziś jeszcze na  
moim

dziecińcu, przed zebraniem wojskiem i pospólstwem oddała cześć  
Jowiszowi, jutro

opuścić będzie musiała stolicę... Wróc do Petroniusza i powiedz mu,  
co rzekłem.

Marcelus, który od niewolników dowiedział się, z jakim rozkazem od  
cezara był u

niego Scypion, oczekiwał w atrium niecierpliwie powrotu córki i  
siostrzeńca; z

twarży Łucyi, gdy stanęła przed nim, wyczytał zaraz, iż nic dobrego  
nie usłyszy.

— Jakież wyrok wydanym został? — zapytał.

— Wyrok wygnania — odparł Wicyniusz i powtórzył słowa Trajana.  
Marcelus zwiesił czoło, chwilę stał posepny, zadumany, nareszcie  
przemówił:

— Namawiać Akteę, aby skłoniła się obcym jej sercu bogom, próżne  
byłyby

usiłowania, bo tego nie uczyni... Nadto czci ona prawdę, aby skłamać  
zechciała... Obalić w jej sercu to, co my zabobonem nazywamy, a  
ona wzniosłą

nauką, tego nikt z nas nie potrafi, więc zgodzić się musimy z wolą  
cezara i

cieszyć w duszy, iż wyroku śmierci nie wydał.

— Łucya łkać poczęła, ujęła Akteę za rękę i ścisnąwszy ją czule,  
rzekła:

— Nie odjedziesz sama, gdyż ja popłynę z tobą.

— Tego nie uczynisz — odparła Aktea — córką jesteś, twoim  
obowiązkiem jest  
osłodzić ostatnie

dni ojca... Jesteś Rzymianką, twoim obowiązkiem czynić dobrze tym, którzy są nie

tylko bliźnimi twoimi, lecz zarazem dziećmi tej samej, co i ty ziemi.

— A ty? — spytała Łucya.

— Mnie przemoc wygania.

— Więc się nie pokłonisz Jowiszowi — zapytał się Wicyniusz.

— Nie mogę — odparła Aktea, a widząc, jak te słowa zasmuciły go, położyła dłoń

na jego ramieniu i rzekła łagodnie: — Bóg, którego czczę, nie opuści mnie. Ty

żyj tutaj, bądź zacnym obywatelem, rozmawiaj często z Gerą i Łucya, a może...

Tu wzruszenie przecięło jej słowa, oplotła ramiona koło jego szyi i ciemną swą

główkę przytuliła do jego piersi.

— O, ja wierzę, że my się kiedyś jeszcze w życiu spotkamy — dodała po chwili

prawie szeptem — jeden jest Bóg prawdziwy, Wicyniuszu... W tym jednym Bogu

szczęście i zbawienie... Bóg, który jest prawdą, dobrem i światłem zarazem...

O północy dnia tego Aktea oświadczyła Łucyi, iż na parę godzin rozstanie się z

nią, gdyż pragnie braci chrześcijan pożegnać.

— Wyrok cezara rozwiązał przyrzeczenie, które wujowi uczyniłam — rzekła. — Pójdę

przeto do nich.

— A ja tego przyrzeczenia nie uczyniłam, więc towarzyszyć ci będę

— odparła

Łucya.

— Chociażbym do kościoła poszła? — zapytała ją Aktea.

— Tam pójdę chętniej i prędzej, niż gdzieindziej... pragnę poznać tam drogę.

Aktea uścisnęła ją w milczeniu.

W kilka minut potem, na ulicy, wiodącej od domu Marcelusa, ukazały się dwie postaci, otulone starannie. Szły one bardzo spieszonym krokiem i dążyły w stronę biednych dzielnic. Ten i ów z przechodzących, obejrzawszy się za nimi, zaczynał je pytaniem, dokąd idą, lub żart złośliwy rzucał za nimi, lecz one nie odpowiadały nikomu; minawszy ulicę miasta, zwróciły się na drogę, ciągnącą się wśród z rzadka rozsianych drewnianych domostw, która prowadziła ku piaskowym wzgórzom; tutaj już spotykały częściej kogoś, lecz nie były zaczepiane, każdy jak one, zdawał się spieszyć bardzo. Dotarłszy do jednego ze wzgórz, zatrzymały się i odsłoniły twarze: były to Aktea i Łucya. Aktea podała rękę siostrze i wprowadziła ją w otwór, u szczytu wzgórza się znajdujący. Wtem zastąpiła im drogę niewiasta czarno odziana, trzymająca w ręku lampkę.

— Kto idzie? — zapytała.

— Córka Waleryi — zabrzmiała odpowiedź. Kobieta dobyła z za sukni stoczek, zapaliła go i podała Aktei.

— W kaplicy Chrystusa zbieramy się dzisiaj — rzekła — obok grobu twej matki.

Aktea pociągnęła zmieszaną Łucyę, która z pewnym niepokojem patrzyła w głąb kurytarza, do którego prowadziły prostopadłe wschody. Wtem pod nimi czerwone światło błysnęło.

— Co to? — spytała.

— Ognisko, przy którym straż czuwa nad bezpieczeństwem  
modlących się — odparła

Aktea.

Zszedłszy, ujrzały u wnijscia do długiego kurytarza czterech ludzi,  
siedzących  
przy niewielkiem ognisku, z dłońmi opartymi na motykach, obok nich  
leżały

kamienie i piasek. Poszły dalej. Niebawem znowu coś w dali  
zamigotało.

— Dochodzimy do kaplicy — odezwała się Aktea. — W pobliżu  
znajduje się grób

mojej matki — dodała głosem wzruszonym, wskazując na białą  
tablicę, tkwiącą w

ścianie, poczem przyklękawszy chwilę, modliła się w skupieniu.

Łucya, stojąc za

nią, nie przeszkadzała jej. Nareszcie podniosła się i weszły do kaplicy.

Panował

w niej półmrok. Po prawej stronie stała gromadka kobiet i dzieci, po  
lewej

mężczyźni. Aktea i Łucya wśród pierwszych miejsce znalazły.

Niebawem w kaplicy

ozwał się śpiew chóralny, a raczej modlitwa przez wszystkich jednym  
tonem

śpiewana.

Wzniosłe słowa modlitwy wzruszały Łucyą, a bardziej jeszcze

wzruszał jej serce

widok Chrystusa wyrzeźbionego z kości słoniowej, który rozpięty na  
czarnym

krzyżu, zdawał się z miłością na zebranych spoglądać. Pod Łucyą  
kolana mimowoli

się ugięły, pochyliła głowę ku ziemi i szeptać poczęła:

— I odpuść mi, Panie, moje winy, moje wielkie winy.

Naraz umilkli wszyscy, w głębi kaplicy ukazał się biskup, zbliżając  
się krokiem

powolnym do



Aktea wyciągnęła rękę do brata.

— Idę tam, gdzie Pan mój iść mi kazał — rzekła. — Nie żałuj mnie, bom ja  
szczęśliwa.

— Powiodę cię na statek — odparł Wicyniusz — odwiozę do  
pierwszej przystani.

To rzekłszy, ujął siostrę pod rękę i poprowadził ją na pokład; ona szła  
odurzona, nieprzytomna, serce jej biło gwałtownie... Stanęli na  
pokładzie.

"Wiosła do ręki!" zabrzmiał rozkaz. Statek zachwiał się, Tyber  
zaszumiał. Aktea

spojrzała przed siebie. Marcus i Lucya posyłali jej ostatnie  
pożeranie. Z oczu

Lucyi czytała słowa, które szepnęła jej przed kilku chwilami:

— Coś ty czyniła, ja dalej czynić będę.

I łzy słodkie, łzy cichej radości polały się z jej oczu. Wtem uczuła, iż  
czyjeś

ramię ją obejmuje łagodnie, że ktoś pochyła się ku niej.

— Akteo — szepnął do niej Wicyniusz — będziemy razem szerzyć  
naukę Chrystusa

tam, dokąd dążymy, bo nauka ta Boską jest.

Ona dłoń mu uścisnęła.

— Więc życzenia mego serca spełnione!.. — szepnęła głosem  
wzruszonym.

— A ja pomagać wam w tej pracy będę, stałość Aktei mnie nawróciła  
odezwał się  
ktoś jeszcze.

— Scypion! — wykrzyknęła Aktea i wyciągnęła rękę do młodego  
trybuna, a twarz jej

uczucie radości rozjaśniło. — O, dobrym jest Bóg dla mnie! —

dodała, podnosząc

ku błękitom wzrok pełen wdzięczności.